M. Bruchnalska Z obrony boha-
terskiego Lwowa

MARJA BRUCHNALSKA

Z OBRONY BOHATERSKIEGO LWOWA I MAŁOPOLSKI WSCHODNIEJ

UDZIAŁ ZIEMIANEK

LWÓW
NAKŁADEM ZJEDNOCZENIA POLSKICH CHRZEŚC. TOW. KOBIECYCH
1930

MARJA BRUCHNALSKA

Z OBRONY BOHATERSKIEGO LWOWA I MAŁOPOLSKI WSCHODNIEJ

UDZIAŁ ZIEMIANEK

LWÓW
NAKŁADEM ZJEDNOCZENIA POLSKICH CHRZEŚC. TOW. KOBIECYCH
1930

Zimą 1929 r. wezwana zostałam przez prezydjum Ziemianek Małopolskich do obesłania Wystawy w Poznaniu zbiorami memi z roku 1863, z lokatą w Pawilonie Ziemianek i Włościanek. Równocześnie postawiona byłam przez to same prezydjum na czele Sekcji historycznej z misją zebrania wspomnień o udziale Kobiet z rodzin ziemiańskich w czasie wielkiej wojny i obrony Lwowa. Stąd powstał szkic niniejszy, który wydaje Zjednoczenie polskich, chrześcijańskich towarzystw kobiecych na dochód Muzeum pamiątek po zasłużonych Polkach. Cel sam i miejsce bohaterskiego Lwowa, na którem toczyła się akcja kobiet wymienionych w szkicu, polecą go łaskawej ocenie i sercu Kobiet polskich.

Marja Bruchnalska.

I.

KOBIETY ŻOŁNIERZE.

Gdy w dniu 1 listopada 1918 r. ludność miasta wracała z cmentarzy, jak przystało w dnie poświęcone pamięci zmarłych, zdumiały ją po ulicach uwijające się furgony, raczej lory do wożenia śmieci, a na nich wyprostowani butnie ruscy heroje z karabinami, wymierzonemi w piersi bezbronnych przechodniów. Dziwne te pojazdy nie uwijały się darmo: tu padła od ich strzałów kobieta, wychodząca z katedry, tam mały chłopczyk pod progiem własnego mieszkania (Michalewski przy ul. Kącik 1), indziej spokojnie idący mężczyzna, którego niby puszczano wolno, a gdy wyminął Rusinów, palono do niego ztyłu, mierząc w głowę z zasadzki, wedle prastarego ruskiego zwyczaju.

Polacy, wymęczeni długoletnią wojną, spragnieni spokoju, zmartwieli zrazu, lecz wkrótce oprzytomnieli i poczęli się organizować do obrony. Szanse walki były nierówne. Rusini bowiem zaopatrzeni byli w broń przez Austrjaków, którzy, nie mogąc dłużej władać Galicją, oddali ją w ręce ruskie z bronią, kasarniami, magazynami wojskowemi. W rękach polskich były pustki, w sercach żal do zdradzieckiej Austrji i lęk przed braćmi Rusinami, którzy głośno obiecywali sobie, »pohulać i krew lacką possać«.

Zaczęto się z naszej strony zrzeszać małemi grupkami ku wspólnej obronie. Wśród tych pierwszych obrońców nie mogło braknąć i kobiet, szczególnie z tego powodu, że wielu mężczyzn, zagnanych wichurą wojenną, jeszcze nie wróciło do domów. W braku więc wyćwiczonego żołnierza musiała nieraz starczyć słaba dłoń kobieca, w braku kurje-

rów krzątały się kurjerki, które w czasach, gdy miasto było zajęte przez Rusinów, a w części przez Polaków, spełniły rolę niezmiernie ważną nietylko łącznika wśród ludności, lecz także wobec młodzieży męskiej, chcącej przedostać się na »polską stronę«, do zwiększającej się grupki obrońców.

Historja dawnej Rzeczypospolitej uczy na licznych przykładach, jak bitny i mężny jest naród polski, który w obronie kraju rozbijał i w puch roznosił wrogów dziesięćkroć silniejszych, obrona Lwowa w 1918 r. jest świeżem stwierdzeniem tej prawdy. Jak dokonała się początkowa obrona naszego grodu, opowie nam urywek pamiętnika, na marginesie zeszytu pisany przez jedną z dzielnych jego obrończyń, a który to pamiętnik, dzięki uprzejmości rodziny, otrzymaliśmy jako dar do Muzeum Zasłużonych Polek. Wpierw jednak zaznaczyć musimy, co jest w tej chwili naszem zadaniem i jaki cel tego obrazu, skreślonego z autopsji. Że kobiety i dzieci brały udział w obronie Lwowa, było już niejednokrotnie podnoszone. Obecnie chodzi o zaznaczenie, że wśród kobiet czyto walczących o Lwów z bronią w ręku, czy pomagających walczącym na innych polach, jak w służbie kurjerskiej, sanitarnej, zaprowjantowaniu oddziałów, znajdzie się kobiety z rodzin ziemiańskich, choćby od dłuższego czasu osiadłych w mieście. Nie idzie tu o wywyższenie i wciskanie się przemocą w rzędy zasłużonych dla Lwowa niewiast, lecz tylko o stwierdzenie i przeliczenie się z ścisłością i prawdą. Jeślibyśmy się wzorowali na historji dawnych czasów, która dzielnych wojowników odznaczała godnością szlachectwa, to nie dziwi nas, że cały Lwów jako gród mężny, kresowy, dawno słusznie wyniesiony był do godności tegoż pięknego szlachectwa, a jego obywatele »cives Leopolienses« byli »nobilibus pares«, czyli równi szlachcie. Toż w obronie Lwowa biorące udział kobiety, a szczególnie poległe, godne byłyby bez wyjątku być zaszczycone tem mianem honorowem. I tak też wszyscy dobrze myślący i wdzięczni Polacy i Polki mają zapisane je w sercach. Koło jednak Ziemianek Małopolskich pragnie upamiętnić imiona tych kobiet, które należą urodzeniem do rodzin ziemiańskich, i z dumą postawić je obok dzielnych mieszczanek Lwowa. Zanim wymienimy je po imieniu i nazwisku, przytoczymy wspomniany

urywek pamiętnika ś. p. Haliny Tołłoczkówny, biorącej w obronie Lwowa czynny udział.

H. Tołłoczkówna pochodzi z rodziny obywatelskiej, z Grodzieńskiego. Dziad jej Antoni, po konfiskacie majątku po roku 1831, był pełnomocnikiem w dobrach hr. Tyszkiewicza, ojciec Adam za udział w 1863 r. zesłany był do Samary. Halina, urodzona w 1893 r. w Moskwie, przeniosła się później z rodzicami do Lwowa i studjowała tu medycynę. Na początku wojny światowej (1914 r.) pracowała w Czerwonym Krzyżu na Politechnice. — Podczas walk z Rusinami 1918 r. była od samego początku czynna, a oto co wspomina o tem uczestnictwie w swych zapiskach:



Halina Tołłoczkówna.

...Przypomina się ów pierwszy dzień listopada, taki ponury, smętny ranek mglisty; jakieś podmuchy złowieszcze, krążące w powietrzu. Wyszłam na ulicę, tu i ówdzie żołdacy rusko-austrjaccy, z żółto-niebieskiemi opaskami krążą, ale jacyś niepewni; ledwo stojący na nogach landszturmiści austrjaccy warty trzymają.

Łkanie wewnętrzne gardło mi ścisnęło. Jakto, więc ci niepewni swego własnego jutra, ci potomkowie dawnych hord Chmielnickiego i Nalewajki mają tu panować? Nie, chyba nigdy... Spotykam dwie koleżanki, zamieniamy parę słów, wtem podchodzi »strilec« ruski z karabinem wpogotowiu i mówi: »Rozyjtysia, bo strilaju«. O, gdybym miała wówczas broń przy sobie, zdaje mi się, że nie namyślałabym się długo. Taka mię wówczas wściekłość ogarnęła, że w jednej chwili zrozumiałam, iż konieczną jest obrona prze-

ciwko gwałtowi zadanemu miastu, i to obrona natychmiastowa. Czułam, że gdzieś muszą być nasi, że musimy się bronić choćby na śmierć i życie.

Postanowienie zrodziło się w jednej chwili. Poszłam szukać ludzi, którzyby coś więcej wiedzieli o sytuacji niż ja i którzyby wskazali, gdzie należałoby się zwrócić. Podniecały mię co chwila słyszane strzały karabinowe w różnych stronach miasta. Naprzeciw siebie ujrzałam automobil najeżony karabinami i odważnych żołdaków austrjacko-ruskich, strzelających wzdłuż ulicy Leona Sapiehy w tłum i w kościół Marji Magdaleny. Dopiero koło wieczora dowiedziałam się, że nasi, garstka zapaleńców broni się w szkole Sienkiewicza — czy doczeka jutra, niewiadomo — nikt mi nic powiedzieć nie umiał. Nikt też pewnych wskazówek dać nie mógł, a strzały rozlegały się ze wszystkich stron miasta.

Znużona, wróciłam późnym wieczorem do domu z postanowieniem, bądź co bądź jutro rano dostać się do szkoły Sienkiewicza; tymczasem muzyka karabinowa coraz bardziej zajadle dochodziła do mego mieszkania; nie były to już pojedyńcze strzały, ale nieustanny ogień karabinowy. Nazajutrz, wczesnym rankiem, bez przeszkód dostałam się do szkoły, zgłosiłam się do kapitana Boruty, który mię przydzielił czasowo do intendantury. Tam już pozostałam. Jakie miłe wspomnienia zostały mi z tego dnia! Jaka radość z każdego zdobytego karabinu, koni, fury, a cóż dopiero, gdy zdobyto pierwszy karabin maszynowy i pierwsze auto! Ochotników napływało coraz więcej, entuzjazm szalony ogarniał wszystkich. A jednak któż nam mógł zaręczyć, że za kilka dni nie będziemy oddani na pastwę ruskich fanatyków? Wszak nas zaledwie garstka, kilkudziesięciu ludzi, a ich było kilkuset uzbrojonych, mieli amunicję. To też walka ta mogła być tylko rozpaczliwym odruchem na gwałt zadany narodowi. Jedna jednak myśl przejmowała wszystkich: zginąć lepiej, a nie poddać się, obronić bodaj parę ulic, zanim przyjdą posiłki z zachodu. Wszak Kraków, Warszawa nie oddadzą na pastwę wroga tej twierdzy kresowej, tego polskiego grodu. Wieczorem zaczęto sprowadzać jeńców, wśród nich pułkownika ukraińskiego. Cóż za pocieszną miał minę,

zdaje się nie zdawał sobie dobrze sprawy, gdzie się znajduje i co się z nim dzieje.

Gdy noc nastała, zwołał kpt. Boruta ochotników na odbicie dworca — przeprowadzić nas mieli kolejarze. Zgłosiło się nas 26, prowadził porucznik Wilhelm Stark. Pierwszy raz otrzymałam wtedy chrzest ognia i po raz pierwszy słyszałam gwizd kul tuż koło uszu, zaglądając co chwila śmierci w oczy. Byłam jednak zbyt podniecona, by mieć czas i móc odczuwać lęk jakikolwiek. Parę kroków ode mnie padł Kolbuszewski, a dalej jeszcze jeden... i jeszcze jeden... Jęk rannych, zmieszany z nieustannym grzechotem, tworzył muzykę taką jakąś piekielną, jakby jakiś marsz straszny, szalony i podniecający.

Wróciłam koło drugiej w nocy do szkoły; prawie nawpół przytomna ze zmęczenia i z przebytych wrażeń rzuciłam się na gołą podłogę pod stół, by zdrzemnąć, jednak tyle myśli szalonych, gorączkowych włłoczyło się do mózgu, że nie mogłam zasnąć. Czułam, że od dziś mam prawo nazwać się żołnierzem, że wolno mi mundur wojsk polskich włożyć... Zaczęły się dnie gorączkowej walki, a poza tem zwożenie broni, mundurów, żywności z magazynów kolejowych; dnie zbiegały, ani nie było można się obejrzeć kiedy. Gdy mi się tylko nadarzyła sposobność, przyłączałam się do patroli, nieraz zmienialiśmy placówki, mimo to gorączka walki nie męczyła mię wówczas, cztery i pięć nocy nieprzespanych, spędzonych z bronią w ręku, nie nużyły mię wcale.

Dnia 7 listopada składaliśmy przysięgę na wierność ojczyźnie.

2 listopada zostałam przydzielona do komendy auta pancernego. Myśl utworzenia tego małego samochodu, opancerzenie go prawie nadludzkiemi wysiłkami w ciągu 24 godzin, było prawdziwie pięknem, zdumiewającem. Ileż korzyści mógłby był przynieść ten mały opancerzony Piłsudski, gdyby dostał komendanta godnego. Tymczasem komendę objął jakiś młodzieniaszek, nie mający wyobrażenia o walce opancerzonych wozów. Pierwszy wyjazd skończył się dość niefortunnie, naboje do pierwszego karabinu maszynowego były założone odwrotnie, maszynka nie dopisała, komendantowi znudziła się zabawka, poszedł spać do pałacu Pinińskich,

a auto zostało przyciągnięte jak wóz bez woźnicy do szkoły Sienkiewicza.

W tej komendzie nieszczęsnej zaczęły się powoli refleksje nad tem, co się w niej działo. Zaczęły się bowiem pijatyki, nieporządki wśród własnych naszych żołnierzy, a brak dyscypliny dawał się odczuwać na każdym kroku. Odtąd przy każdej sposobności starałam się wymknąć na patrol lub na placówki, najczęściej z oddziałkiem kapitana W.

Niemile też działały na mnie stosunki w samej komendzie... to też czułam się dobrze i odpoczywałam moralnie, gdym była na patroli lub na placówce, tam przychodziłam do życia dopiero wśród gradu kul, patrząc śmierci w oczy i drwiąc z niej...

Nadszedł dzień 21 listopada, z nim długo oczekiwane posiłki z zachodu, — Lwów był wolny! Był to dzień pierwszy wolnego, polskiego Lwowa.

Od tego czasu powzięłam coraz większą niechęć do mojej komendy. Zraziło mię to, że naraz w pierwszy dzień po oswobodzeniu Lwowa auto, które przez dwa tygodnie stało bezczynne, pojechało na dzielnicę Krakowską, skąd wróciło pełne... zdobytych rzeczy. Postanowiłam przy pierwszej sposobności przenieść się do innego oddziału, a w międzyczasie chodziłam dalej z kapitanem W. na rozmaite wycieczki, aż przed świętami zostałam lekko ranna w nogę, więc musiałam parę dni przeleżeć, a po świętach pojechałam na kilka dni do Krakowa. Po powrocie dowiedziałam się, że kobiety mają być wycofane z frontu, ponieważ zaś utworzyła się »Legja Kobiet«, wstąpiłam do niej tymczasowo. Stosunki jednak wewnętrzne, brak koleżeństwa, zbieranina z najrozmaitszych warstw, zniechęciły mnie bardzo prędko do tej w zasadzie pięknej instytucji.

Dziś czekam z upragnieniem końca, spokoju, by się zabrać do pracy umysłowej. Czuję się przemęczona fizycznie i moralnie, nerwy odmawiają mi posłuszeństwa, jedna noc, spędzona na warcie, dobija mię na cały tydzień. Jedno też wojnie zawdzięczam, żem się nauczyła patrzeć śmiało w oczy śmierci i nie cenić życia... Lwów 27/XI 1919 r.

Zapiski pamiętnika urywają się, gdyż i młode życie żołnierza-kobiety urywa się na wojennej służbie. W marcu

bowiem, pełniąc służbę koło Pasiek Miejskich, zaziębiła się śmiertelnie Halina Tołłoczkówna i dnia 25 tegoż miesiąca 1919 r. zmarła, mając lat 26. Idealnie patrzącej na świat i obowiązki wobec społeczeństwa i kraju wojowniczce naszej wydała się rzeczywistość, z którą zetknęła się w czasie obrony Lwowa, tak smutną, tak inną od marzonej, że ostatnie uwagi, ręką jej pisane, tyle mają w sobie goryczy, iż je w tej chwili przemilczeć wolimy. Nie umiała sobie wytłumaczyć pewnych wybryków czy nadużyć dawną maksymą »à la guerre comme à la guerre«, przeciwnie od żołnierza prostego czy dowódcy wymagała doskonałej uczciwości i strzeżenia nakazów honoru. A że tego nie widziała wszędzie w czynie, myślała o wycofaniu się w kadry pracowników umysłowych. Żal do ludzi poszczególnych czy ogółu, obciążający społeczeństwo, jej samej przynosi tylko zaszczyt i stwierdza przynależność zmarłej do warstwy obywatelstwa z białego dworu, w którym przez pokolenia całe, a szczególnie w linji żeńskiej, kultywowano zasady patrjarchalnej uczciwości, prostego honoru, poszanowania cudzej własności i tej rycerskości, którą lubimy się tak szczycić, a której w czasach najnowszych tak lekkomyślnie się wyrzekamy.

Dzielną tę idealistkę, żołnierza i członkinię Legji Kobiecej przenosiło w roku 1928 na Cmentarz Obrońców Lwowa Towarzystwo Opieki Mogił Polskich Bohaterów, wśród zasłużonych »rycerzyków«. Sędziwy ojciec, dawny sybirak, pochylał się z dumą nad mogiłą córki.

Króciutkim szkicem o Halinie Tołłoczkównie wstępujemy w jedną grupę obrońców Lwowa, mianowicie w Szkołę Sienkiewicza. Takich jednak grup było więcej, a przy każdej gromadziły się kobiety gorętszego ducha, nieustępliwe i wytrwałe w niesieniu pomocy dla ratowania polskości w grodzie ukochanym. Jedną z takich właśnie placówek i to jedną z pierwszych był np. Dom Akademicki przy ul. Łozińskiego nr. 7, w samem centrum miasta i to ówczesnego ruskiego, a mimo to w pełnej będący akcji. Tuż obok, przy placu Fredry pod nr. 1 na pierwszem piętrze, w lokalu dawnego Komitetu Pracy Obywatelskiej Kobiet, później, od czasu złączenia się jego z Ligą Kobiet i przetopienia na nową jednostkę społeczną, Komitetu Obywatelskiego Polek, było serce

ówczesnej pracy kobiecej, podjętej w celu zrzucenia jarzma ruskiego. Tu bowiem zorganizowała pierwsze kurjerki pani Aleksandra Zagórska, a komendantem pierwszych 12 czynnych przy komendzie uzupełnień był kapitan Wit Sulimirski.

Jeśli chcemy wymienić kobiety z rodzin obywatelskich, które pełniły służbę kurjerek, żołnierzy czy sanitarjuszek, musimy zaznaczyć, że organizatorka kurjerek, a później milicji, wreszcie Ochotniczej Legji Kobiecej Aleksandra Zagórska, z racji swej przynależności rodowej niepoślednie zajmuje miejsce w ich rzędzie, z domu bowiem Luba Radzimińska, pochodzi z rodziny bardzo znanej i ustosunkowanej w hierarchji obywatelstwa wołyńskiego. Pani Aleksandra, porwana w roku 1905 ruchem rewolucyjnym, który uważała za patrjotyczny przeciw przemocy carskiej, przebyła czas dłuższy w Cytadeli warszawskiej, gdzie nawet urodził się jej syn z pierwszego małżeństwa. W służbie tej niezmiernie była czynną. W czasie wielkiej wojny mieszkała we Lwowie z mężem, doktorem Adamem Zagórskim. Opresja tego miasta w roku 1918 powołała młodą i piękną kobietę do żywej akcji patrjotycznej. Z podziwem patrzyliśmy, jak codzień rano szła polami kulparkowskiemi, wśród strzałów swoich i wrogów, ze stoickim spokojem, a wracała nieraz późną nocą od zajęć w organizowaniu służby kurjerskiej w Komitecie Polek (plac Akademicki albo plac Fredry 1).

Do rzędu swych pierwszych podwładnych kurjerek, najgorliwiej oddanych sprawie, zaliczała dwie siostry panny Paleolog Helenę i Stanisławę. Gdyby wierzyć, że ród tych kurjerek pochodzi z Grecji i sięga głów koronowanych, to obie siostry miałyby pierwsze miejsce wśród warstw uprzywilejowanych. Nie mając dowodów na to, musimy stwierdzić tylko zapał, wytrwałość i odwagę tych pierwszych bezbronnych jeszcze wojowniczek z przemocą ruską.

W tejże grupie kurjerek sprawnością w wypełnianiu rozkazów swej komendantki odznaczyła się panna Felicja Sulimirska, piękna, młodziutka, szczęśliwa w kole rodzinnem i szczęśliwa narzeczona. Pomimo tych plusów, któremi nie wszystkich obdarzają losy, panna Felicja nie potrafiła przebywać w domowem zaciszu, ukryta przed burzą, która groziła całemu miastu. Zgłosiła się od początku do pani

Aleksandry Zagórskiej i pod jej kierownictwem pełniła służbę, odnosząc depesze na polską stronę, przeprowadzając tamże młodych ochotników, którym trudno było przemknąć się samym wśród ruskich »strilców«. W dniu 21 listopada, więc na dobę tylko przed odzyskaniem Lwowa, wyszła w misji kurjerskiej z domu i idąc ulicą Fredry padła ugodzona kulą wrażą. Męczyła się okropnie dzień cały, osładzając swe cierpienia myślą o wygranej. Prawie ostatnie jej wyszeptane pogodnie słowa były: »Poznań, Warszawa, Kraków, — cała ojczyzna«.



Felicja Sulimirska.

Tak przed czasem zgasło dziewczątko bohaterskie i czuwa teraz nad Lwowem ze wzgórza jego Obrońców.

Przytaczamy wierszyk ku jej czci napisany:

PAMIĘCI FELICJI SULIMIRSKIEJ.

W słoneczną jaśń, w wiosenną baśń,
Wyrastał biały kwiat,
W szum leśnych ech, dziewczęcia śmiech,
Wyzywał na bój świat.
Wierzyła w cud, u szczęścia wrót
Zrywając wiosny bzy —
Bo w szczęścia ślad niósł ją los-ptak,
Ukrywszy skrzętnie łzy.
Aż przyszła noc. Najeźdźców moc
Zalała polski Lwów.
W obronie praw życie swe staw,
Ideę spełń swych snów.
Więc poszła w toń. Zbójecka dłoń
Zerwała życia nić.
Suknię na ślub włożyła w grób,
Na wieki poszła śnić...

Marja Bohdanówna.

Pamiętnego dnia 22 listopada biegła pisząca te słowa do Komitetu Polek (przy placu Akademickim 1). Na dole schodów, gdzie dotąd często Rusini śledzili, kto wchodzi lub wychodzi z kamienicy, spotkała bardzo śpieszącego się oficera z miną, jak u wszystkich, rozradowaną.

— Czy pani do Komitetu idzie? — zapytał nieznajomy.

— Tak — odpowiedziałam.

— Proszę tam powiedzieć, że potrzebujemy kurjerek, jak najwięcej kurjerek.

— Dobrze, powiem pani Zagórskiej, ale proszę o nazwisko, abym wiedziała, kogo mam szczęście widzieć pierwszego z polskich oficerów.

— Wit Sulimirski, — przedstawił się uprzejmie, choć nieco późno; podaliśmy sobie ręce, acz dotąd nieznajomi, lecz wspólną radością tak wówczas bliscy.

Wbiegłszy bez tchu na górę, ujrzałam Marję Dulębiankę, Aleksandrę Zagórską, promienne, oglądające obrzękłe mocno ręce panny Wandy Tynikówny, które przez tę okropną ostatnią noc wystrzeliły na pozycji na cmentarzu Stryjskim 70 kilka razy, z karabinu zbyt ciężkiego, ale zato nad ranem zdobyły sobie lekki karabinek, odpowiedniejszy dla żołnierza-kobiety. Niezapomniana chwila.

Nie zaciągając się do kurjerek, służbę kurjerską jednak spełniła doskonale w oblężonym Lwowie panna Aniela Jakubowska, córka Anny z Korsaków i dra Saturnina Topór Jakubowskiego, właściciela Drosejkan na Żmudzi (w Poniewieskiem), za udział w 63 r. zesłanego na Sybir, a później długoletniego lekarza kolejowego w Turkiestanie, znalazła się z matką i rodzeństwem w Galicji dla odebrania wychowania w języku polskim. Tu już została, a w czasie oblężenia Lwowa dzieliła jego dole i niedole. W 1918 roku, w czasie odciętej chwilowo komunikacji, widząc fatalny stan miasta, postanowiła bądź co bądź przedostać się do Krakowa i bez namysłu wyruszyła w drogę, pieszo, kołując wsiami odległemi od głównego traktu, dotarła wreszcie do stacji w Gródku i tam potrafiła dostać się do pociągu. Przemęczona, zgrzana pochodem po strasznych błotnych drogach, po długich pertraktacjach dopuszczona do pociągu, ulokowana była jak wszyscy pasażerowie w wagonie bardzo

przewiewnym, prawie bez szyb. Droga wlokła się bez końca. Dopiero od Przemyśla pociąg już po stronie zupełnie polskiej posuwał się raźniej. Kraków wydał się podróżnej istnym rajem. Za przybyciem śpieszyła się p. Jakubowska, by, gdzie należy, zdać natychmiast relację, z dwóch powodów: raz dlatego, by pomoc wysyłano ludności zgnębionej jak najśpieszniej, po drugie dlatego, że po tej jeździe w wagonie bez okien i uprzedniej męczącej drodze pieszej czuła się chorą. Zapalenie płuc ciężkie nie dało długo naszej podróżniczce na siebie czekać i ledwie nie pozbawiło jej życia.

Nie mogę się wstrzymać, by na tem miejscu, choć to przechodzi nasze ramy, nie wspomnieć, że takiej samej misji, w czasie dla Lwowa najgroźniejszym, tylko w innym dniu, podjął się radca sądowy Jan Hozer, zacny patrjota, jeszcze za Austrji więziony wraz z żoną Wiktorją z Gostkowskich. Jego podróż zakończyła się gorzej niż panny Jakubowskiej, gdyż z przemęczenia dostał również zapalenia płuc, ale już z niego nie podniósł się, oddając w ten sposób życie swe Lwowu.

Po odbiciu Lwowa przeobraziła się pierwotna służba kurjerek, pod kierownictwem p. Zagórskiej, a pod komendą kapitana Sulimirskiego, na Milicję Obywatelską Kobiet. Ochotniczki, których liczba ogromnie wzrosła, należały początkowo prawie wyłącznie do sfery inteligentnej i pełniły zrazu służbę bezpieczeństwa w mieście i na jego peryferjach, poza tem sprawdzały spisy ludności, oddając przy tej akcji znaczne usługi komisji poborowej, gdyż wyławiały mężczyzn, ukrywających się przed służbą wojskową, a będących w wieku poborowym. Już w grudniu objęły na Wysokim Zamku po raz pierwszy posterunki wartownicze przy działach, tudzież służbę obserwacyjną tamże i obsługę jednego działa i jednego karabinu maszynowego. Komendę otrzymała plutonowa Kamila Janotówna z Poznania, która zyskała przez swą sprawność i dzielność nadzwyczajne uznanie władzy wojskowej*).

Z kobiet, które na tem miejscu specjalnie nas obchodzą, pełniły służbę przy dziale dwie siostry baronówny Brück-

*) Ochotnicza Legja Kobiet, Szkic historyczny, str. 12.

m a n n Stanisława i Ewa, pochodzące z rodziny ziemiańskiej, dobrze zapisanej w czasach powstania styczniowego w 1863 r. Na posterunku zostały przez czas najgorętszy dla Lwowa, przez trzy miesiące, poczem wycofały się z legji.

Pod koniec grudnia 1918 r. Milicja Obywatelska Kobiet wzrosła bardzo liczebnie i przeszła nową fazę przeobrażenia w Legję Ochotniczą Kobiet. Koniec grudnia niezwykle był ciężki, więc nie wahano się, jak zwykle w chwilach grozy, użyć pomocy kobiet nawet w służbie na froncie.

Kobiety z Legji Ochotniczej zdały przy pierwszej sposobności egzamin z odwagi i dzielności. Oto słowa kapitana Wita Sulimirskiego: »Krzywczyce dały im właściwy chrzest bojowy. Tu na odebranych Rusinom pozycjach spędziły młode panienki z »O. L. K.« pierwszą noc na placówkach, w najbliższem sąsiedztwie wroga. Noc śnieżna i mroźna, — bez cieplejszych mundurów, bez zaopatrzenia należytego, powołane alarmem, który w młodych piersiach dziewczęcych musiał przecież wywołać drżenie. Ale w ciemność nocną, w mroki kryjące wroga patrzyły śmiało dziewczęce oczy i na dalekiej peryferji miasta biły nieustraszone serca kobiece. Gdy zluzowany na pozycjach oddział wracał pod komendą por. Nawareckiego, swego instruktora, do miasta, artylerja ruska zaczęła go obsypywać salwami pocisków. Nieustraszony ten zastęp przeszedł spokojnie, bez strat, unosząc w duszy niezatarte, radosne wspomnienia pierwszej służby na froncie.

Drugi chrzest bojowy był w Zboiskach, gdzie przez cztery tygodnie ochotniczki z Legji stały wśród ustawicznej strzelaniny. W oddziale szturmowym pod dowództwem podpor. Pigułeczki i Mellera było już 70 kobiet, które w dniach 13, 20 i 27 grudnia 1918 r. odparły 3 zaciekłe ataki. Wśród ofiar była 20-letnia, bohaterskiej odwagi, Zofja Kościesza W r o ń s k a. Szła w pierwszym szeregu kompanji szturmowej, cała w zapamiętaniu dla sprawy, której służyła. Ciężko ranną opadli hajdamacy, lecz żołnierze nasi wydarli z ich rąk nawpół żywą towarzyszkę broni i unieśli z pola bitwy. Po kilku dniach zmarła nasza bohaterka.

Na Persenkówce po 9 dniach ustawicznego ognia padły cztery żołnierze-kobiety.

W Lipnikach (koło wsi Prusy) zajmowały samodzielnie dany odcinek frontu i szły dwa razy na bagnety. Poległo tam 5 kobiet.

Na odcinku w Kulparkowie podziwiał je generał Barthélemy, co odbiło się później w artykule czasopisma francuskiego »Illustration«.

Ochotnicza Legja Kobiet podlegała personalnie i administracyjnie kapitanowi Aleksandrze Zagórskiej, która w marcu 1919 r. przejęła całą komendę. Do czerwca tegoż roku dowództwo nad nią było w ręku kapitana Sulimirskiego, następnie w ręku Dowództwa Miasta i Placu:

Służba ochotniczek, w mieście przeważnie wartownicza, była w tych czasach niezmiernie ciężka. W zacytowanym szkicu historycznym czytamy na stronie 15 co następuje: »Bez ciepłego ubrania, w dziurawem obuwiu stały niekiedy po parę dni i nocy, bez zmiany, a choć niejednej wypadł karabin ze skostniałej dłoni, żadna nie zeszła z zajmowanej pozycji... W chwilach niebezpieczeństwa szły na front, znajdujący się tuż za miastem, a w najokropniejszym, piekielnym momencie wybuchu amunicji na dworcu Głównym potrafiły, ratując własność Państwa, wynosić beczki z benzyną z płonących magazynów. Przemilczeć tu nie można bohaterki panny Józefy Balzerówny, która otrzymała specjalne uznanie pochwalne ze Stacji Zbornej W. P. od porucznika Lipskiego: »Za samorzutne, pełne poświęcenia i wytrwałości, wśród gradu pękających pocisków i płonącego ognia oddanie się akcji ratunkowej dla dobra Rzeczypospolitej«.

Czyż za takie męstwo nie otrzymałby dawniej żołnierz godności szlachectwa i pięknego herbu na błyszczącej tarczy! —

W rzędzie takich entuzjastek-ochotniczek postawić musimy 15-letnie dziewczątko, dziecko prawie, Halinkę Dołęgę Grabską z Płockiego. Pochodziła ze sfer obywatelskich, wychowana starannie na pensji w Płocku. Gdy doszły ją wieści o niedoli Lwowa, zapaliło się w niej jedno pragnienie: biec na jego ratunek. Nie mówiąc, co zamierza, odkładała czas dłuższy bułki ze śniadania, aby mieć o czem zajechać do Lwowa. Gdy już myślała, że ich nazbierała dostateczną ilość, mała nasza bohaterka opuściła pensję i przy-

była do Lwowa, gdzie natychmiast zgłosiła się w Komendzie Legji O. K. Nie chciano jej naturalnie z powodu młodocianego wieku przyjąć, lecz gdy błagała, zapewniając, że rodzice przyszlą swoje zezwolenie, zatrzymano małą 15-letnią wojowniczkę tymczasowo i zawiadomiono rodziców obywateli ziemskich w Płockiem, nie używając jej do żadnej



Halina Dołęga Grabska.

służby. Gdy pewnego dnia jednak przyszedł transport darów amerykańskich dla Legji, wyprosiła się bodaj do pilnowania koni w czasie, gdy dorosłe legjonistki będą zajęte wyładowywaniem wagonu. Po przybyciu legjonistek na dworzec, Ukraińcy przypuścili atak pociskami. Co żyło, chowało się w bezpieczne miejsce. Biegnący oficerowie wołali do Halinki, stojącej na warcie, by się skryła, lecz nie posłuchała, wołając ku nim: »Jestem żołnierzem, rozkaz otrzymałam, z po-

sterunku nie zejdę«. Za chwilę nic nie zostało z koni i dzielnej Halinki, tylko krwawe strzępy. Legjonistki złożyły ją w białą trumienkę, przystroiły pierwiosnkami i odprowadziły na miejsce wiecznego spoczynku. Za trumną idący stary zahartowany generał płakał serdecznie... Została po niej jedna cenna pamiątka: nie wysłana jeszcze kartka do koleżanki. Pisała w niej; »Czy wyobrażasz sobie, jak jestem szczęśliwą — jestem z tymi, co bronią Ojczyzny«. (Notatkę tę zawdzięczam pani Wandzie Mazanowskiej).

Podobnie, jak mała Halinka Grabska, pełniły służbę wartowniczą wszystkie legjonistki, na różnych posterunkach przy magazynach, na dworcach kolejowych! Mnóstwo dowodów ich wiernej służby w rozkazach i raportach dowódców, a wszystkie stwierdzają, że ochotniczki nasze były nieocenionymi stróżami dobra Rzeczypospolitej, nieraz wprost niezastąpionymi. Gdy nieprzyjaciel ostrzeliwał je podczas pełnienia służby, nie schodziły ze swych posterunków, przeciwnie nieraz przyprowadzały pod karabinem opryszków, chcących rabować dobro publiczne. Ten właśnie fakt, jak i wyciąganie z ukrycia kryjących się przed służbą wojskową poborowych, były pierwszym powodem niechęci do legjonistek, które pewne żywioły starały się ośmieszyć za wszelką cenę wtedy, gdy bezpośrednie niebezpieczeństwo minęło a czynność ich mogła być z łatwością zastąpiona przez żołnierza męskiego.

Z pośród tych szarych ochotniczek, pełniących tak niemiłą i — powiedzmy —.tak niewdzięczną służbę, jak wartownicza, odchodziły jednostki bardziej indywidualne, łaknące czynu bardziej bezpośrednio z akcją bojową złączonego. Między innemi przeszły do służby polowej do 5 pułku artylerji polowej: Halina Kowalska, Halina Wasilewska i Wiktorja Stokowska. Nie jestem pewna, czy wymienione kobiety należały do rodzin ziemiańskich, ale zdaje się, że tak było, choćby w dawno minionych czasach. W każdym razie, opierając się na kartach służbowych tych dzielnych wojowniczek, z dumą w imieniu kobiet polskich za szkicem historycznym legji powtórzę, »że do oficerskiej patroli łącznikowej przydzielone podczas ofensywy 20. IV. 1919, odznaczyli się szczególnie szeregowcy O. L. K. Halina Kowalska, H. Wasilewska, Wiktorja Stokowska. Szły przeważnie

w pierwszej linji piechoty podczas ataku na las Oświcę, Gaj i Zabrzę, a kładąc połączenie telefoniczne dla artylerji, czyto roznosząc meldunki sprawiły, że dowództwo artylerji w każdym momencie uświadomione było o postępach i przebiegu akcji nieprzyjacielskiej, przeto upraszam O. L. K. do podania nazwanych do Dowództwa W. P., celem uzyskania pisemnej pochwały«.

Ponadto H. Kowalska otrzymała zaświadczenie: »V Pułk Artylerji p. Baterja, 3. Pozycja, 5/VI. 1919 r. Dowództwo poświadcza, że plut. H. Kowalska pełniła przy Baterji od dnia 12/II na froncie południowym (Persenkówce) służbę telefoniczną na punkcie obserwacyjnym w placówkach piechoty i przy baterji oraz obserwatora artylerji. We wszystkich wypadkach dała dowody nadzwyczajnej przytomności umysłu, żelaznego poczucia obowiązku i pogardy niebezpieczeństwa, specjalnie w dniu ofensywy 20/IV na tym odcinku, gdzie przydzielona jako łącznik szturmującej piechoty do artylerji, oddała sprawie nieocenione usługi. Te zalety połączone z wrodzoną powagą i głębokim patrjotyzmem sprawiły, że plutonowa Kowalska była w baterji znakomitym, niezastąpionym żołnierzem. — Dowództwo Baterji«.

Podobne zaświadczenia otrzymały: Wasilewska i Słokowska. Za taką dzielność w dawnych wiekach otrzymywali mężczyźni szlachectwo i ziemie, więc gdyby wymienione bohaterskie panny nie należały z urodzenia do rodzin ziemiańskich, to czynem swym broniącym świętej ziemi ojczystej same — siłą faktu i czynu stawiałyby się w rzędzie zasłużonych ziemianek...

Gdy niebezpieczeństwo trochę się zmniejszyło, skazano legję ze »względów na naturę kobiety«, koszta umundurowania i t. d. na wymarcie. Dopiero w czasie nawały bolszewickiej powstaje legja w Wilnie z inicjatywy pań: Hanny Orleńskiej - Paszkiewicz, Klary Zatorskiej i Ludwiki Markowskiej. Praca legji w Wilnie była ciężka, we Lwowie coraz trudniejsza, tak, że komendantka Aleksandra Zagórska wniosła do Komendy Miasta i Placu prośbę o pozwolenie rozwiązania legji w końcu roku 1919, na co długo nie było odpowiedzi. Dowództwo O. L. K. przeniesione zostaje w początkach kwietnia 1920 r. do Warszawy, gdzie legja uległa ponownie

nowemu ukonstytuowaniu. Podczas najazdu Bolszewji oddziały legji otrzymały posterunki przy moście wraz z oddziałem karabinów i innemi. Po oddaleniu niebezpieczeństwa oddziały częściowo demobilizowano. W Warszawie 1. III. 1921 zostały ściągnięte z Pragi ostatnie posterunki wartownicze Ochotniczej Legji Kobiet.

Na zakończenie warto powtórzyć za szkicem historycznym legji kilka zdań: »Kiedy w Warszawie, w dniach sierpniowych 1920, oddział O. L. K. przed udaniem się na front szedł do katedry, sypały się nań kwiaty, padały okrzyki, staruszki oczy pełne łez zatrzymywały na niezwykłym zastępie żołnierskim i błogosławiły dziewczętom, idącym na bój w obronie Ojczyzny i wolności... Podobnie było i we Lwowie dopóty, dopóki nieprzyjaciel stał tuż groźny i srogi«... »A gdy było spokojniej, nie szczędzono tymże legjonistkom słów najgrubszych obelg. Czarna to niewdzięczność, która jest prawie tradycjonalnie stosowana przez mężczyzn wobec kobiet naszych. Tak, a nie inaczej bywało w r. 1863, proszono niewiasty o pomoc, Rząd Narodowy wydawał w tym względzie polecenia i rozkazy, a po upadku powstania niejeden pamiętnikarz czarne notował kreski, mówiąc o kobietach żołnierzach czy kurjerkach...«

II.

SANITARJUSZKI.

Prócz kobiet, walczących z bronią w ręku i kurjerek, cały ich legjon pracował w służbie sanitarnej. I na tej drodze padały ofiarą swego poświęcenia, bądź nabawiwszy się grasującego tyfusu, bądź też na placówkach od kuli wrażej. Tym właśnie dajemy pierwszeństwo, jak przystało na czasy wojenne.

Janina Prus Niewiadomska, córka Macieja, który straciwszy w dawnych przewrotach krajowych majątek, zajmował skromne stanowisko geometry. Matka Janiny Radwanówna z domu, bardzo wątłego zdrowia, zmarła przed samą wojną światową. Jeszcze w lipcu 1914 r. zapisała się młodziutka Janinka wraz z bratem we Lwowie do formującego się wówczas Strzelca i została przydzielona na kurs sanitarny.

Bardzo przydało się to w czasie wielkiej wojny, która wybuchła właśnie w lecie 1914 r. Jako sanitarjuszka, pod imieniem siostry Wandy, pełniła odtąd służbę na frontach Drugiej Brygady Legjonów, a po ich rozwiązaniu w szpitalu legjonowym w Lublinie, w Kowlu, a wreszcie w szpitalu Ujazdow-



Janina Prus Niewiadomska.

skim w Warszawie. Wtedy Lwów przechodził męki, toczący niespodzianą walkę z wrogiem, wspieranym przez demobilizowane oddziały austrjackie, a męczył się bez wody, żołnierza, broni, pogrążony nadto podczas mroków nocnych w egipskie ciemności. Dowiedziawszy się o tem siostra Wanda, niespokojna o losy drogiego miasta i brata, który tam pełnił służbę frontową, zapragnęła dostać się do oblę-

żonego Lwowa. Niebawem nadarzyła się sposobność, gdy szpital Ujazdowski wysyłał po rannych pociąg sanitarny. Pozwolono wtedy pannie Niewiadomskiej przyłączyć się do tego pociągu, pod warunkiem natychmiastowego powrotu. Siostra Wanda pragnęła do rozkazu zastosować się służbiście, lecz przybywszy na miejsce i zorjentowawszy się w ciężkiej sytuacji Lwowa, zgłosiła się, nawet przed zobaczeniem się z bratem, zaraz do służby jako ochotniczka w szpitalu na Technice. Stąd wysłana została 2 lub 3 stycznia 1919 roku do najbardziej jeszcze zagrożonego odcinka na Persenkówce. Odcinek ten usiłowali Ukraińcy odebrać za wszelką cenę i dlatego toczyły się na nim zajadłe boje. Los zrządził, że na tym właśnie odcinku walczył brat jej, Stefan. Rodzeństwo spotkało się przypadkiem koło kościoła św. Elżbiety. Wanda, idąca do służby, brat, wracający na jednodniowy odpoczynek do miasta. Jakby w przeczuciu bliskiej katastrofy, prosi siostrę, by wróciła wedle danego jej rozkazu do Warszawy. Na to odpowiedziała bez wahania, że »dopiero teraz czuje się szczęśliwą, gdyż znalazła cel swój i tego szańca polskości, na którym i on, jej brat się znajduje, opuścić nie może«. Obiecała jednakże wrócić po służbie do brata na gawędkę. Minął jednak dzień cały, a nie wracała. Zrozpaczony brat zaczął poszukiwania, zrazu daremne, dopiero trzeciego dnia znaleziono zwłoki jej w stodółce na Persenkówce, tuż obok pobojowiska. Żołnierz, któremu dwa dni temu uratowała życie, opowiedział, co widział na własne oczy i czego od tej dzielnej sanitarjuszki doświadczył. »Dnia 6 stycznia walki były zacięte, nieszczęśliwy odcinek przechodził z rąk do rąk. Komendant oddziału miał do dyspozycji samego młodego żołnierza, który był po raz pierwszy w boju. Siły przeciwnika, strzelców siczowych, były wyćwiczone i przeważające liczebnie. Nasz żołnierzyk młody zaczął się cofać i dopiero za przykładem siostry Wandy, która choć nie żołnierz, a tylko sanitarjuszka, szła pełna brawury w pierwszych szeregach, zachęcając do kontrataku, odparto nieprzyjaciela. Komendant odcinku twierdził, że dotąd tak dzielnej niewiasty nie spotkał i że tej Polce-bohaterce zawdzięczać należy w owej chwili utrzymanie Persenkówki w naszych rękach«. A dodać trzeba, że Persenkówka jako stacja kolejowa, łącząca odcinek z po-

łudniową częścią miasta, była nader ważnym punktem strategicznym. Patrol sanitarny, na którego czele stała Wanda, umieszczony był w dworku, w którym znajdowało się dowództwo odcinka, a z którego po skończonej walce, pod wieczór, zostały tylko zgliszcza. Tuż obok ciągnęły się rowy strzeleckie, a naprzeciw stał domek, w którym Ukraińcy mieli ukryty karabin maszynowy. Gdy wieczorem nasi zaczęli zajmować pierwsze linje okopów, jeden z żołnierzy padł raniony kulą z tego karabinu, w miejscu na wzgórzu pod krzyżem, pod którym 28 grudnia padł ranny Mazanowski. Widząc padającego żołnierza, przybiegła siostra Wanda i klęcząc opatrywała szyję, krwią obficie broczącą. Natychmiastowa ta pomoc uratowała życie rannemu, a spowodowała śmierć Wandy, która stanowiła dobry cel dla wroga, nie szanującego zgoła, wedle przepisów i układów międzynarodowych, służby sanitarnej. Po przyjściu do przytomności żołnierz przyczołgał się do swoich linij, nie umiał jednak powiedzieć, jakie były dalsze losy jego wybawicielki. Zostało więc tajemnicą, kto i kiedy, żywą czy umarłą przeniósł do stodółki. Cały płaszcz miała podziurawiony kulami, a ranę ciężką w udo koło pachwiny, co spowodowało upływ krwi i śmierć bohaterskiego dziewczęcia. Z wielkim żalem przyjął cały odcinek wiadomość o jej zgonie. Dnia 10. I. 1919 r. odbył się jej pogrzeb z honorami wojskowemi, jak gdyby była żołnierzem. Nikt nie żegnał jej szumnemi słowami, ale pożegnała salwa karabinowa, której wtórowały strzały wpobliżu toczącej się bitwy. Dzienniki nasze poświęciły jej słowa wspomnienia, między temi Kurjer Warszawski pisał, że poległa Janina »Wanda«. Niewiadomska zawsze marzyła o służbie na linji, warunki jednak na to nie pozwalały, dopiero obrona Lwowa nasunęła jej taką sposobność. Świadczą o tem najlepiej jej własne słowa: »Tam, gdzie kule świszczą, tam, gdzie bagnety błyszczą, ciągnęło mnie zawsze, więc tutaj zostaję«.

Na Persenkówce, w miejscu, w którem poległa Janina Niewiadomska, a wcześniej krewny jej, por. Józef Mazanowski, opodal zaś tylu innych jak oni dzielnych młodzieńców, obrońców naszych, stanął piękny pomnik ku wiecznej pamiątce spełnionego wobec kraju obowiązku. (Na podstawie artykułu dra Cz. Niewiadomskiego, pod tytułem: »Dzieci Bohaterzy«.)

Malwina z Bogdanowiczów Pieńczykowska, urodzona w Czechowie, obywatelka wiejska, nie szukała bezpiecznego schronienia dla siebie i ukochanych córek za granicami kraju, ale od początku wojny światowej w nim została i dając najlepszy przykład ze siebie, pociągnęła do ofiarnej, samarytańskiej służby również swoje dwie córki.



Malwina z Bogdanowiczów Pieńczykowska.

Panie te pracowały w szpitalu wojskowym we Lwowie, a gdy wstała Polska i zażądała rąk chętnych do pracy, a serc do gojenia ran duszy, już nie w przenośni, ale rzeczywistych, zajęła pani Pieńczykowska stanowisko w pociągu sanitarnym na froncie białoruskim. Nie usuwała się od pielęgnowania chorych na tyfus plamisty, porwana tą straszną epidemją, zmarła w szpitalu w Lublinie, w pięknym miesiącu maju 22/V 1919 r.

Marja Pieńczykowska, nieodrodna córka swej matki i miłościwa opiekunka tych naszych »zadżumionych«, była wychowanką Sacré-Coeur we Lwowie, w ośm dni po matce zmarła, uległszy tej samej okrutnej chorobie, w ostatnim dniu miesiąca maja, niosąc Bogu i krajowi w ofierze młode swe życie.


Marja Pieńczykowska.

Stefanja z Kręczyńskich Gubayowa, również była elewka SS. Sacré-Coeur we Lwowie, poszła za wzorem swych dziadów, którzy, służbę dla kraju stawiali na pierwszem miejscu. Niedarmo bowiem była wnuką żołnierza z r. 1831, dra Bogusława Longchampsa de Bérier, nie mogła więc w czasach grozy spadłej na kraj nasz co dopiero podniesiony do godności państwa, zostać bezczynnym widzem. Rok 1918 zastał ją już matką trojga małych dzieci, opiekunką matki staruszki, żoną sędziego w Tarnopolu. Stosunki naszych jeńców internowanych czy więzionych przez braci Rusinów były wprost nieludzkie. Ciasnota, brud, strawa godna czworonogiego bydła, warunki higjeniczne wprost zbrodnicze, wywołały straszny pomór wśród naszych jeńców. Jak mogły jednak serca niewiast uchylić się, salwując siebie, od noszenia im do więzienia pożywienia, od pielęgnowania chorych — o ile to wogóle było dozwolone — nieszczęsnych chorych, dotkniętych już palcem śmierci? Więc choć uwielbiała matkę swą i dzieciny, choć serdecznie kochała — co dziś niemodne — swego męża, nie mogła jednak zostawić tych nieszczęśliwych bez pomocy. Wątła z natury, gdy raz wpadła w chorobę tyfusu, która przy pielęgnowaniu dotkniętych nią była prawie nieunikniona, zmarła 2/III 1919 r. wierna w czyniewyznawanym hasłom służenia bliźnim.

Kamila Kwapińska, urodzona w Krośnieńskiem z zie-

miańskiej rodziny. Ojciec jej oprócz administrowania swym majątkiem, był dyrektorem przedstawicielstwa naftowego. Z wybuchem wojny, widząc na co się zanosi, przeszła zaraz na początku 1914 r. kurs sanitarny w Sokole Macierzy we Lwowie, a już we wrześniu tegoż roku pracowała w pawi-



Stefanja z Kręczyńskich Gubayowa.

lonie II profesora Hermana aż do lutego 1918 roku, poczem cztery miesiące ciężkiej służby spędziła w szpitalu dla zakaźnych. W listopadzie 1918 r. pracowała u pani Opieńskiej przy robieniu opatrunków. Wtedy popadła w niewolę ruską, wydostaje się jednak z niej szczęśliwie i zgłasza odrazu do pracy w szpitalu na Technice, gdzie przebywa całą zimę

w gorączkowym ruchu do marca 1919 r. Praca ta, której oddawała się gorąco, nadwątliła jej zdrowie na całe lata.

Jedna z sióstr miłosiernych we Lwowie, bez kornetu zakonnego, zato z woalem błękitnym, jedna z sióstr o charakterze czysto polskim, świetna organizatorka sanitarjuszek, to Pelagja hrabianka Skarbkówna. Któż nie pamięta



Pelagja hr. Skarbkówna w szpitalu św. Teresy.

tej szlachetnej córy karmazynów z czasów, gdy na początku wojny światowej organizowała na Technice lwowskiej siostry błękitne i szpital w klasztorze św. Teresy. W pierwszym popłochu wojennym przy cofaniu się armji austrjackiej panowały na Technice stosunki wprost fatalne, chorzy bez dozoru czołgali się po korytarzach, aby zdobyć dla siebie potrzebne

leki czy jadło. Z przyjściem tam hr. Skarbkówny i sióstr błękitnych zapanował ład i porządek, a każdy cierpiący miał zapewnioną sumienną opiekę.

Do pierwszych sióstr należały: hr. Dębickie, panna Ujejska, hr. Drohojowska, Marja Opieńska i wiele innych pań.

Szpital u św. Teresy urządziła hr. Pelagja w kilku salach swoim własnym kosztem już od września 1914 r. i prowadziła go przez rok cały. Tam przechowywały siostry błękitne różnych uciekinierów, kryjących się przed niewolą rosyjską, i nieraz przyszło im fabrykować dokumenta, by za niemi mogli się wydostać ich pupile na wolność.

W szpitalu św. Teresy zrobiła przewodnicząca SS. Błękitnych dziwną znajomość, jakiej dawniej na salonach wielkiego świata na pewno nigdy nie widziała zbliska. Były to trzy sierotki wojenne, które los tragiczny przygnał do wrót szpitala i związał blisko z hr. Skarbkówną.

Jedną z sieròt był chłopczyk, którego rosyjska sanitarjuszka, Czarkowskaja miała znaleźć po cofnięciu się Austrjaków na pobojowisku między Janowem a Jaworowem; przywiązany miał być chustą na plecach kobiety, która ugodzona pociskiem padła ustami do ziemi. Zgłodniały malec ssał kark biednej, zabitej matki, usta miał pełne robactwa. Panna Skarbkówna zaopiekowała się nim serdecznie. Po jej śmierci malec w lat kilka ukończył pierszą klasę Gimnazjum w Chyrowie, oddany został do Zakładu Wychowawczego fundacji Skarbkowskiej w Drohowyżu. Nazywano go Leszkiem, później Zygmuntem Wańkiewiczem.

Drugą sierotką panny Pelagji — to dziewczynka, nazwana Danusią; prawdziwe jej imię Magdalena Szarachan, z Felsztyna rodem. Matkę jej zabił szrapnel, poczem osierociałe dziecko przysłał probosz gr. kat., ks. poseł Watulewicz. Po roku 1918 oddała ją dostojna opiekunka do Drohowyża, a dopiero gdy wrócił ojciec małej z Ameryki i zgłosił się po dziecko, oddana mu została mała sierotka.

Znalazła się i trzecia opuszczona sierota, którą umierająca matka sama powierzyła miłosiernej opiekunce; była to również Danusia, właściwie Józefa Bybel. W obawie, by dziecko nie dostało się w opiekę wuja, nałogowego pijaka, matka

na łożu śmierci oddała je hr. Skarbkównie. Po zgonie swej dobrodziejki przyjęta została przez pp. Gołkowskich z Sambora i wtedy zmieniono jej nazwę na Danutę Dyboską.

Piękny obraz działalności hr. Pelagji z czasów prowadzenia szpitala u św. Teresy znajdujemy w niedrukowanym opisie święconego w dniu 3 kwietnia 1915 r., jaki skreśliła jedna z współpracowniczek w szpitalu św. Teresy, panna Helena Gamska. »W przecudny dzień« — czytamy tam — »przybył do klasztoru ks. arcybiskup Józef Bilczewski, ukochany przez wszystkich arcypasterz. Witała go u furty panna Skarbkówna i wprowadziła do sali, gdzie było przygotowane święcone. Pani ta (hr. Sk.) nie pozwalała niczyim łzom płynąć, a usta już ku płaczowi skłonne, do uśmiechu przymusza, bo wie, że smutkiem tylko żal drugich powiększa. Nie figuruje w szpitalu pro forma, ot tak tylko na papierze. Niedarmo rzuciła salony, muzykę, którą tak ukochała, i pamiętna na przykład Boskiego Mistrza, poszła z sercem chętnem do pracy dla tych, którzy teraz najbiedniejsi — dla rannych inwalidów. To też cisną się do niej chorzy, twarze bolem wykrzywione, rozjaśniają się na jej widok, ręce całują jak matce. I dba o te biedne swe dzieci: zna narodowość każdego, wie, czy ma żonę, dzieci, jaka jego choroba i jaki jej stan, czego mu potrzeba. Gdy bieży przez salę w prostym jasno niebieskim stroju siostry błękitnej, to spojrzenia biedaków gonią za nią tęskliwie, a modlitwy dziękczynne idą przed tron Boży za tą miłosierną Opiekunką. J. E. ks. arcybiskup Bilczewski dokonywa w przeddzień Wielkiej Nocy święcenia darów Bożych dla inwalidów. Pieśń jakaś mocna a święta płynie po cichym



Pelagja hr. Skarbkówna z sierotkami.

klasztorze, skarżąc się i żebrząc zmiłowania Najwyższego... To inwalidzi przywlekli się tu o kulach i oparci o ścianę, witają wysłannika i dostojnika Kościoła. Po dokonanem poświęceniu zebrani idą za ks. arcybiskupem do sal, gdzie leżą nieszczęśliwi kalecy. Niektórym z przybyłych za trudno patrzeć na cierpienia biedaków, więc zatrzymują się u drzwi. Hrabianka Skarbkówna oprowadza ks. Bilczewskiego od łóżka do łóżka rannego mówiąc: To Polak, to Węgier, ten Tyrolczyk, a ten Rumun, a ksiądz przemawia żartobliwie do każdego.

Jest tu i dwoje dzieci, znalezionych na pozycjach. Chłopczyk patrzy na wszystkich wesoło, gdyż nie zna własnej tragedji, która tak wcześnie go dotknęła, że jej nawet ocenić nie umie. Znalazł zresztą matkę i dostojną opiekunkę a cały personał mieni się jego rodziną...

Podczas herbatki, bez której gościnna gospodyni nie wypuściła nikogo za furtę, otrzymała hr. Skarbkówna dar od chorych i personału szpitalnego; w dębowych ramach rozłoczył skrzydła nasz orzeł biały, taki nam drogi, a nad nim lśni czerwony krzyż, w którego imię rozpoczęła swą pracę błogosławioną, poniżej moc podpisów w trzech językach: polskim, węgierskim i niemieckim, wraz z wyrazami podzięki od inwalidów, jej pupilów. Całość otoczona nie listkami wawrzynu, któremi wieńczono niegdyś skronie przodków tej starej, polskiej rodziny, ale gałązkami dębu, które doskonale charakteryzują siłę i wytrwałość niezmordowanej opiekunki rannych... Jakże dziwnie dobrze jest w tem smutnem królestwie hrabianki Skarbkówny«...

Słowa te pisane gorąco, pod wrażeniem przebytej chwili, są tak wymowne, że bodaj w streszczeniu podajemy je dla wydatniejszego kolorytu całego obrazu, na którym występuje tak słodko, a wyraźnie postać przodownicy SS. błękitnych.

Przez cały ciąg wielkiej wojny światowej nie ustawała hr. Skarbkówna w pracy swej samarytańskiej, prowadząc szpitale gdzie było potrzeba: we Lwowie, Krynicy, Wiedniu, dbając nietylko o ich wewnętrzny ład, dokładność, doskonały porządek, ale i o należytą aprowizację. W tym celu nie wahała się, mimo chwiejącego się już zdrowia, odbyć dwukrotnej, uciążliwej podróży do Odesy i Kijowa, byle szpita-

lowi zapewnić aprowizację, która mocno szwankowała. Pierwszą podróż odbyła z Marją Opieńską w maju 1917 r., gdy po cofnięciu się Rosjan wszystkiego szpitalom brakowało. Drugi raz wyjechały obie tegoż roku w czerwcu na zlecenie komendanta szpitala w Nowym Sączu, gdzie hr. Pelagja z kilku siostrami chwilowo pracowała. Tym razem na ulicach Odesy było gorąco i gęsto słychać było strzelaninę. Pani Opieńska z częścią nabytych skarbów wyjechać musiała wcześniej, hr. Skarbkówna, już wtedy bardzo niezdrowa, zo-



Pelagja hr. Skarbkówna ze szpitalem uzdrowieńców w Krynicy.

stała parę dni dłużej, poczem wróciła z wagonem, pełnym koniecznych dla szpitala rzeczy. Obie panie zaopatrzone były w wojskowe bilety jazdy, tak zwane »Offene Ordre« i miały do dyspozycji żołnierza, niestety Niemca, który w tej drodze więcej zawadzał, niż był pomocny.

Z czasu, w którym Siostry błękitne prowadziły szpital w Krynicy, przechował się wierszyk pani Rychter-Janowskiej, z którego zacytujemy dwie zwrotki; pierwsza z nich pisana z humorem pełnym sympatji, odnosi się do pani Opieńskiej, druga do generała, to jest do hr. Pelagji, zajmującej z siostrami willę »Siedlisko«:

»Inna znowu (Opieńska) w menaży pracuje od rana,
Biała, czerstwa, wesoła, rumiana,
Ma coś w sobie z królowej; cera z płatków róży,
Włosy z słońca, bławaty w oczach, a nosek nieduży,
Obraz zdrowia i szczęścia, przytem energiczna:
Słuchać jej musi sióstr gromada liczna,
Gdy każe iść na lewo, każda idzie w prawo,
Kiedy w prawo zarządzi, każda gdzie chce idzie.

Powstaje chaos, zamęt: by zapobiec biedzie
Sam generał (Skarbkówna) natenczas występuje srogo
I kary zapowiada, straszy, ale nigdy srogo
Żołnierzy swych nie karze, tak tylko nawiasem
Srogą postać przybiera i połaje czasem.
Grunt ma złoty, a serce ludzkie i anielskie,
Stąd też nieraz widziałam, jak płonące oczy
Wdal wpatrzone szukały niebieskich przezroczy,
Jakby w nich dwojga sierot przyszłość widzieć chciała
Tych, którym matką nazwać się kazała.
Stąd do rannej ludzkości, aż pod dachy strychu
Zeszła od blasków, hołdów i świata przepychu,
By wśród leżących w szpitalnej pościeli
Snuć się jak anioł w błękitach i bieli,
Iść ku nim aureoli otoczona chwałą,
Wzmacniana wielkim duchem i siłą wytrwałą .

Ostatnim etapem szpitalnej pracy był Wiedeń. Tam na Grinzingu, w baraku nr. 42, hr. Pelagja prowadziła szpital wojskowy w roku 1916—17. Załączona fotografja przedstawia kaplicę w baraku, a w niej w ołtarzu obraz nowy, na którym widnieje i błękitna siostra. Dostojna patronka szła więc także na obczyznę za polską niedolą. A tymczasem jej własne zdrowie chwiać się zaczynało nie na żarty. Przyglądanie się zbliska cierpieniom ludzkim, podniesionym przez wojnę do tysiącznej potęgi, wnikanie głębokie nietylko w ból fizyczny, ale i duchowy swych pacjentów i pupilów, a także nurtująca organizm choroba, sprowadziły wielki upadek sił hr. Skarbkówny. Z konieczności porzuca pracę i swe Siostry błękitne, wyjeżdża na wieś, odpoczywa i leczy się. Niedowierza jednak obietnicom lekarzy. Mimo to nie martwi się tylko sobą: zazdrości społecznym swym współpracownicom jedynie dlatego, że dla dobra ogółu mogą coś czynić i działać. Ostatni list do Marji Opieńskiej kończy słowami: »Wy

pracujecie, a ja co?« Co do stanu swego zdrowia nie myliła się, gdyż w parę miesięcy później zmarła w Poznańskiem Pelagja hr. Skarbkówna, wnuka fundatora wiekopomnych instytucyj publicznego dobra we Lwowie i jego okolicach, siostra niezapomnianego obrońcy Lwowa, Aleksandra hr. Skarbka i Siostra błękitna.

Helena Joanna Ślepowron Skibniewska[1]), urodziła się na Wołyniu, w Popowcach, dnia 21/VI 1890 r. (pow. starokonstantynowski).



Obraz w kaplicy na Grinzingu.

Ojciec jej, Bogumił Skibniewski, doktor medycyny, zniewolony zbiegiem okoliczności osiadł w majątku rodzinnym w Popowcach, gdzie wzorowe prowadził gospodarstwo. Medycyny jednak nie wyrzekł się, ale całą swą wiedzę oddaje na wyłączny prawie użytek najbliższego otoczenia, włościan w Popowcach i okolicy. Leczy on wszystkich bezpłatnie, dając prócz porady lekarstwa, a nierzadko środki odżywcze i lecznicze. Oddany całem sercem obywatelskiej i społecznej pracy, nie szczędzi sił swych, śpiesząc każdemu z pomocą moralną i materjalną. W humanitarnym jego trudzie sekunduje mu całą duszą żona, Marja z Sworz-Trzebińskich. — Gniazdo ich rodzinne, w którem gorąco żyją tradycje powstaniowe, pełne cnót obywatelskich, promienieje wokoło kulturą ducha i umysłu; to też zjednywa sobie ogólnie najwyższe uznanie i miłość wśród współobywateli.

W takiem środowisku wzrosła i wychowała się Halka

[1]) Bjografię ś. p. H. J. Skibniewskiej skreślił jej brat Aleksander i udzielił listu siostry do matki, zamieszczamy go tutaj jako dokument znaczenia historycznego.

Skibniewska. Dziecinne swe lata spędziła w domu rodzicielskim, skarbiąc zawczasu z rodzinnej tradycji i przykładu rodziców zadatki cnót, które w dalszym ciągu jej życia zrobiły z niej kobietę dzielną, hartowną, przepojoną miłością ojczyzny i pragnieniem poniesienia dla niej ofiary.

Około 1908 roku wyjechała do Krakowa na kursa im. Baranieckiego; tam właśnie jakby w przypuszczeniu, że losem jej będzie praca nietylko na zagonie ojczystym, przysposabiała się do praktycznego życia, odbyła szkołę ogrodniczą i praktykę w ogrodach Studjum Rolniczego przy Uniwersy-



Barak wojskowy na Grinzingu w Wiedniu.

tecie Jagiellońskim w Krakowie, a prócz tego przeszła kursa sanitarne. Potem dopiero wraca do domu, a nie umiejąc siedzieć bezczynnie, bierze na siebie część trudu matczynego, prowadzenia ogrodu i naukę dzieci wiejskich. Zajęciom tym oddaje się z zapałem właściwym jej energicznemu charakterowi, a rzadkie wolne chwile poświęca jeździe konnej, co było jej, jako wielkiej miłośniczki koni, największą przyjemnością.

W pierwszym roku wojny 1914/15 wstępuje jako sanitarjuszka do polskiego szpitalu w Płoskirowie na Podolu, założonego przez społeczeństwo polskie. Potem, gdy tylko zaczęły się na dobre formować wojskowe oddziały polskie na terenie zaboru rosyjskiego, Halka wstępuje do nich jako siostra miłosierdzia i, dzieląc losy tych oddziałów, odbywa

ciężką służbę frontową. Obowiązkowa, zamiłowana w swym zawodzie, pełna serca i współczucia dla rannych, odważna, dzielna, a przytem pogodnego usposobienia, zyskuje największe uznanie przełożonych, przywiązanie chorych.

Z czołówką I korpusu gen. Dowbór-Muśnickiego dostaje się do niewoli bolszewickiej i tu przeżywa straszną tragedję, gdy w jej oczach bolszewicy mordują cały męski personał czołówki. Energją i przytomnością umysłu udaje się jej wraz z koleżankami swemi wyratować od śmierci chorych i rannych i wydrzeć ich z rąk bolszewików.



Helena Ślepowron Skibniewska, dwukrotnie odznaczona krzyżem walecznych z okuciami.

Ten tragiczny epizod, po ocaleniu, opisała sama w liście do matki. Został też opisany na tle opowiadań innych na ocznych świadków, a mianowicie ocalonych sióstr z czołówki, przez p. Domańską w broszurce p. t. »Siostra Hanna« (wydawnictwo Św. Wojciecha w Poznaniu) i przez p. Wańkowicza p. t. »Szpital w Tychiniczach« (wydawnictwo Rój).

Po wydostaniu się z niewoli bolszewickiej pełni Halka dalej służbę sanitarną w pierwszym korpusie gen. Dowbór-Muśnickiego. Po rozbrojeniu owego korpusu na wiosnę 1918 roku, po krótkim odpoczynku w domu, wyrusza do Kijowa, gdzie nawiązuje kontakt z P. O. W. i jako kurjerka tegoż kilkakrotnie jeździ do większych ośrodków rosyjskich (Odesa, Kaukaz), przewożąc rozkazy, papiery, wiadomości; oddaje wielkie usługi tej organizacji, narażając wielokrotnie swe młode życie.

W czasie największego zamętu rewolucyjnego i teroru bolszewickiego przebywa jakiś czas w Odesie i tam wstę-

puje do oddziału gen. Żeligowskiego, z którym wraz przedostaje się przez Rumunję do wschodniej Małopolski latem w r. 1919. Tu dochodzi ją straszna wieść o śmierci matki, którą bolszewicy zamordowali w okrutny sposób w rodzinnym jej domu w Popowcach, z kilku innemi osobami, które tam właśnie szukały ratunku i schronienia.

Dla przytłumienia strasznego bolu i rozpaczy Halka Skibniewska tem bardziej ofiarnie oddaje się pracy samarytańskiej, a daje jej ku temu wielką sposobność straszna epidemja tyfusu plamistego, szerząca się w obozie polskim, a przedewszystkiem wśród jeńców bolszewickich, których całe zastępy zagarnęła świeżo armja Żeligowskiego, rozłożona podówczas w Borszczowie i wsiach okolicznych. Niezmordowanie, z zupełnem zapomnieniem o sobie, pracując dniami i nocami, niesie Halka im pomoc, poświęcając się dla idei, ratuje nietylko swoich ale i wrogów od śmierci. W tem ciężkiem zmaganiu się ze straszną epidemją, gdy nie ma czasu pomyśleć o sobie, zaraża się tyfusem i jak żołnierz na posterunku, w służbie ojczyzny, oddając nadto wrogom najwyższą krzywdę najwyższem miłosierdziem, umiera 18/VIII 1919 roku. Cóż to za wzniosłe spełnienie obowiązku i jaka cudowna ofiara — umierać w dobrowolnej służbie dla swych śmiertelnych wrogów i prześladowców! To też chowają tę dzielną cichą bohaterkę jak zasłużonego żołnierza z największemi honorami wojskowemi na cmentarzu w Borszczowie. Generał Żeligowski osobiście bierze udział w uroczystości pogrzebowej.

Niema jednak na tym pogrzebie najbliższej rodziny. Jakże bo i mogła przybyć? Matka najmilsza w grobie, czterej bracia, których życie może swą ofiarą wyjednała, po kilku latach służby frontowej, — ocaleni, — służą teraz w wojsku polskiem. Piąty zrzędu brat Jerzy i stryjeczny Włodzimierz, którzy brali udział w obronie Lwowa, zginęli w listopadzie 1918 roku w czasie oblężenia, leżą na jego cmentarzu »Obrońców«. Siostry, brat najmłodszy i dalsza rodzina rozproszeni po różnych częściach Polski wiodą ciężki żywot tułaczy...

Mogiła Halki Skibniewskiej stoi samotnie lat kilka w Borszczowie, dopiero dnia 8 maja 1927 r. zwłoki jej zostają przewiezione do Lwowa i tam wraz z innemi zasłużo-

nemi ojczyźnie bohaterkami pochowane na cmentarzu Obrońców Lwowa.

Halina Skibniewska za zasługi, położone w wojsku polskiem, została dwukrotnie odznaczona »krzyżem walecznych z okuciami« w korpusie gen. Dowbór-Muśnickiego i w oddziale gen. Żeligowskiego.

List H. Skibniewskiej do matki.

»Rohaczew, 5/III 1918 r.

Mamusiu moja Droga.

Dziś już trzy tygodnie minęło, jak się rozegrała nasza straszna tychiniecka tragedja. Drżałam na myśl o tem, że Mamusia może się jakichś szczegółów z gazet dowiedzieć, a tu ani depesze, ani listy nie dochodzą. Z Mińska próbowałam telegrafować, ale wątpię bardzo, by tych słów parę doszło do rąk właściwych. A teraz coraz straszniejsze wieści dochodzą o krwawych dniach w Kijowie, wiem, że któryś z braci miał tam być w tym czasie — wprost odwagi nie mam myśleć o tem. Ale teraz postaram się opisać nasze przejścia krwawe.

Jak Mamusia wie, staliśmy od początku grudnia w miasteczku Tychińcach. Chorych jak zwykle sporo, gdyż ostatniemi czasy mieliśmy ich blisko 100; prócz tego ludność miejscowa była jak zwykle leczona przez naszych lekarzy. Dawało im się lekarstwa, często nawet lekarze lub siostry chodzili do nich dla udzielenia im pomocy po wsi; o żadnem wynagrodzeniu mowy nie było, chyba o ile ofiarowali jajka, to się je oddawało dla naszych chorych, akcentując wyraźnie, że dla siebie nic nie bierzemy. Obok nas w miasteczku i w sąsiednich wioskach stał drugi pułk Strzelców; wyszedł on, pozostawiając w Tychińcach, jako garnizon, sześciu ludzi z dwoma oficerami, pilnujących jednocześnie folwarku, a raczej zapasów zarekwirowanych dla naszych wojsk.

Dnia 29 stycznia starego stylu pojechały nasze siostry i gospodarz do Rohaczewa i tam dostali ustne zlecenie dla szpitala ewakuowania natychmiast chorych do Bobrujska i jechania tamże z całym szpitalem, zabierając cały magazyn i furaż. Wiadomość tę dostaliśmy dopiero wieczorem; za-

częło się gwałtowne przygotowywanie papierów dla chorych i przysposabianie się do drogi. Była to sprawa nielada, mając wszystkiego 15 finlandek (wozy dwukołowe dla przewożenia chorych), ale dzięki energji doktora Mroczka, zostali ciężko chorzy wysłani rano do Bobrujska, z wyjątkiem dwóch, potrzebujących ciągłej opieki, i 16 na tyle zdrowych, że mieli odbyć podróż z naszą komendą; ozdrowieńcy przez tubylców zostali odesłani do swoich pułków. Kończyliśmy się pakować i konie były zaprzężone, gdy wyszłam z rozkazem doktora naczelnego, by rozdać komendzie pakiety indywidualne. Na podwórzu spotkałam naczelnika transportu naszego, idącego pośpiesznie z żoną i 10-ciomiesięczną córeczką na ręku do nas z wiadomością, że za wsią strzelanina, gdzie — jak się wyrazili — »banda uzbrojonego chłopstwa« napadła naszych uzdrowieńców. Powróciłam do szpitala, gdzie wykończaliśmy pakowanie; dostałam też rozporządzenie, by w jednej skrzyni mieć wszystkie potrzebne do opatrunku rzeczy, by ewentualnie w razie potrzeby zabrać te tylko instrumenty.

Potem obiad przyśpieszony, ale niebardzośmy go jedli, gdyż strzały znacznie się przybliżały; według naszych informacyj, nie należało się obawiać »bandy«, gdyż była ona nieliczna, a my mieliśmy 60 karabinów. Doktor kazał rozdawać nam broń i naboje, ale większość naszych ludzi rozpierzchła się na odgłos strzałów. Moje »Lubki« (klacze popowieckie) uniosły bryczkę w pole.

Było zapowiedziane, żeby ze szpitalnego budynku żaden strzał nie padł, lekarze nie brali też broni do ręki, o nas zaś mowy nie było, gdyż nawet w takiej chwili nie możemy mordować.

Byłam na górze, gdy kula przebiła ścianę i, przeleciawszy nad moją głową, ugrzęzła w murze. Nie wiem, co mnie skierowało do chorych (wierzę teraz w przeznaczenie), tam czułam się spokojniejszą, tem bardziej, że oni byli zupełnie jak dzieci, i uważali, że przy nas nic im nie grozi; nikt z nas zresztą nie pojmował całej grozy sytuacji i nie przeczuwał nawet w małej części tego strasznego dramatu, jaki się miał za chwil parę rozegrać.

Chorzy byli w małym pokoiku dla ciężko chorych i w znajdującej się obok, niezupełnie jeszcze uprzątniętej salce opa-

trunkowej. Nas sióstr było cztery: Wańkowiczówna, Prechitko, Białkowska i ja. Siedziałyśmy przepłoszone z chorymi i słyszałyśmy jakieś hałasy. Irena Prechitko wyszła na korytarz i wróciła z wiadomością, że cała banda poszła na górę. Potem znowu były hałasy, krzyki, strzały, wreszcie Irena wyjrzała znów i powiedziała: »Zachowujcie się spokojnie, idą do nas, już są na galerji«.

Dziwne uczucie ogarnęło nas; tak byłyśmy pewne, że żywe nie wyjdziemy, że zupełnie strachu nie odczuwałyśmy, ale to była chwila jedna z gorszych. Wreszcie wpadła gromada ze strasznym Czerkiesem na czele, podobnym do złego psa, z drgającemi ze złości ustami i latającemi oczami. Wchodząc krzyczeli na nas, byśmy wychodziły, bo będą rzucali bomby; na naszą odpowiedź, że o ile naszych chorych leżących nie wyniosą, to zostaniemy, dali nam spokój. Wszystko to weszło uzbrojone w karabiny zwykłe, maszynowe, w rewolwery, mając każdy po parę bomb zawieszonych na sobie, kierując cały ten arsenał na nas i domagając się gwałtownie wydania oficerów. Jeden ciężko chory, mający 40 stopni gorączki, został brutalnie szarpnięty i ledwie nam się udało wyperswadować, że ani on, ani kilku bardziej elegancko ubranych żołnierzy nie są oficerami. Zaczęło się wyciąganie rzeczy chorych i szukanie oficerów, zupełnie jak gdyby byli szpilkami, we wszystkich kątach do tego stopnia, że kazali mi otworzyć malutki składzik pod schodami, gdzie trzymałam watę; ale zobaczywszy, że tam ciemno, woleli sami nie wchodzić i zaproponowali mi, bym to uczyniła, a przekonawszy się, że tam nikogo niema, dali pokój Powróciłam do chorych, gdzie po chwili przynieśli bolszewicy zemdloną Irenę.

Wyszła ona na podwórze zobaczyć, co się dzieje, i przekonać się, co się z resztą personału stało, gdyż na wszystkie nasze pytania odpowiadali dziwnie jakoś, że wszyscy żyją, ale zostali poprowadzeni do sztabu bolszewickiego. Zaczęliśmy cucić biedną Irenę i pierwsze jej słowa były: »Naczelny, naczelny — wszyscy pomordowani«. Mnie wprost wierzyć się nie chciało, myślałam,. że Irena mówi nieprzytomnie; wyszłyśmy na podwórze folwarczne: tam leżeli wszyscy nasi w kałużach krwi, już odarci. Doktor naczelny Mroczek, gospodarz szpitalny Stiller, aptekarz Nehrebecki, magazynier

Nowakowski, oficer, który był chory i miał już do pułku jechać, dowodzący garnizonem, który zabił przedtem dowódcę bolszewików, marynarza (była to jedyna ofiara z ich strony) i inni. Przypadkiem tylko został zabity przy ostrzeliwaniu kancelarji ordynans jednego z naszych panów, a zresztą wszyscy padli po poddaniu się, wymordowani w okrutny sposób. Jeden np. z obozowych miał głowę roztrzaskaną kolbą i cały mózg na wierzchu, drugi podobno godzinę całą męczył się, prosząc o opatrunek i wodę, a wreszcie o dobicie go i nikt mu nie przyszedł z pomocą, chociaż podwórze roiło się od ludzi, wreszcie po godzinie ulitował się nad nim jakiś czerwonoarmiejec i dobił go.

Jakeśmy się potem z ust naszych pozostałych dowiedzieli, rzecz się miała tak: Gdy się nasi przekonali, że jesteśmy otoczeni (droga, którą mieliśmy jechać, była pod strzałami umyślnie na nią skierowanego kulomiotu), doktor naczelny, widząc, iż nie możemy się obronić przeważającej sile ani czekać na pomoc, chociaż na początku strzelaniny udało się jednemu oficerowi konno uciec, postanowił poddać się. Wszyscy ci, co strzelali, porzucili karabiny i zebrali się w naszych pokojach na górze; wówczas doktor zawołał przez okno, że tu jest personał szpitalny, a na ich wołanie o oficerów powiedział, że są chorzy i szpitalni i wszyscy poddają się. Wówczas na wszelki wypadek została rzucona przez okno bomba do pokoju, gdzie byli wszyscy, lecz na szczęście nie wybuchnęła i tłum bolszewików wdarł się na górę; następnie wyprowadzili wszystkich na podwórze szpitalne i tam, otoczywszy ich, zaczęli kolejno mordować mężczyzn, według wskazówek chłopów, którzy wszystkich znali; gospodarza nawet zabił chłop własnoręcznie. Lalka Lansberg zasłaniała sobą doktora i wołała: »Nie ubiwajtie, eto doktor«, zagrożono jej bombą, a gdy to nie pomogło, została przemocą oderwana od niego, a on natychmiast zabity. Cudem tylko ocalał naczelnik transportu z dzieckiem na ręku; potem jakiś bolszewik poczciwy dał mu swoje ubranie okropne, zabierając wzamian jego odzienie, i to go ocaliło. Następnie wszyscy pozostali przy życiu zostali piechotą odprowadzeni do sztabu bolszewickiego, odległego o 5 wiorst; my zaś chodziłyśmy po podwórzu między tą straszną gromadą, znajdu-

jąc co chwila kogoś nowego z pomordowanych. Ironicznie patrzano na nas, z dodatkiem odpowiednich przekleństw, łajań i obietnic, że tak będzie ze wszystkimi Polakami, gdyśmy się starały naszym biedakom oczy pozamykać i ręce składać. Na nasze zapytanie, czy wolno nam będzie poznosić ciała, otrzymałyśmy odpowiedź: »Wsie oczeń razdrażeny i eto możet dla was płocho akantczytsia«, nareszcie wskazano nam miejsce na podwórzu kuchennem, obok zlewu, znów z całą masą łajań pod adresem Polaków i naszych zabitych.

Przyniosłyśmy nosze i znosiłyśmy po dwie kolejno ciała, a dwie były przy chorych, niektórzy z zabitych byli bardzo ciężcy, już zesztywnieli i na nasze kobiece siły wprost nie do uniesienia. Nasza służąca, z Berezania przywieziona, na naszą prośbę, by nam pomogła, roześmiała się. Wszystkich zabitych było 11, następnie przybył nam oficer, zamordowany w sąsiedniej wiosce przez chłopów kołami i przywieziony do nas.

Po tych strasznych chwilach trzeba było myśleć o chorych i o sobie. Poszłyśmy na górę do swoich chorych, gdzie wszystko było poprzewracane, kufry i walizy poroztwierane i większość rzeczy zabrana, kasa rozbita. Udało się nam zabrać trochę rzeczy, potem poszłyśmy do magazynu naszego, gdzie zostało nam rozdzielone z naszych szpitalnych zapasów trochę kartofli, śledzi, krup i masła; trzeba było pomyśleć o kolacji dla chorych. Nasza gromadka powiększyła się o trzech żołnierzy z ochrony folwarku, schowali się oni w ostatniej chwili między naszymi chorymi; chorzy byli wszyscy postrzyżeni, a tych czupryny były kompromitujące. Jednego udało się ostrzyc i wypalić mu jodyną gruczoł na szyi, co zostało następnie zabandażowane; operacja ta codziennie się powtarzała, tak, że się biedak musiał potem leczyć, gdyż miał rany. A potem jakby przeczuciem wiedziona, sfabrykowałam im na kartce, gdzie sobie notowałam zastrzyki, specjalną notatkę, że im się to też robiło. Okazało się, że tu nami wprost palec Boży kierował: zjawił się marynarz i kilku czerwonogwardzistów, naturalnie znów od stóp do głów uzbrojonych, z karabinami skierowanemi na nas, co zresztą stale było praktykowane; byli oni prowadzeni przez chłopa, naszego kilkutygodniowego pacjenta, który

trafnie zresztą, pokazywał tych, co strzelali, twierdząc, że to są żołnierze, a nie chorzy. Była to straszna chwila, ponieważ byłam od zastrzyków, więc sama całą sprawę musiałam załatwić. Z jednej strony ironiczne i badawcze spojrzenie tych, którzy może za chwilę mieli być naszymi katami, a z drugiej strony — błagalny wzrok biednych trzech ludzi, którzy czuli, że jedno nieostrożne słowo, gest mój nieopatrzny może być dla nich wyrokiem śmierci; ale i tutaj Bóg nam dopomógł. Widząc, że bezczelność robi swoje, brnęłam coraz śmielej, nie zrażona powiedzeniem: »wriotie siestrica« (było to jedyne niegrzeczne odezwanie się bolszewików do sióstr), i przez cały czas pobytu u nas pełni byli uprzejmości. Ośmieliłam się też pokazać im moją kartkę, z której dziecko byłoby się domyśliło i poznało na szachrajstwie, gdyż te trzy nazwiska były odmiennym ołówkiem napisane, ale nie wiem, czy im moja bezczelność zaimponowała, czy poprostu nie chciało im się tej sprawy podnosić, dość, że dali pokój. Ale kochany chłopak codzień nam nowych naprowadzał i codzień była ta sama historja, z tą tylko różnicą, żeśmy się stawały coraz bardziej pewne siebie.

Po tem wszystkiem, co zaszło, trzeba było myśleć o karmieniu chorych. Do żadnych robót poza obrębem szpitala nie mogłyśmy używać tych trzech ludzi pod obawą zarzutu, że są zdrowi; więc noszenie wody, której moc wychodziło, tak, że najmniej trzy razy dziennie trzeba było chodzić do studni; dojenie naszych krów, na co po długich namysłach i targach dostałyśmy pozwolenie; to ostatnie zajęcie było najtragiczniejsze, jedna tylko z nas umiała doić, dla mnie była to męczarnia; współczułam też serdecznie biednym krowom, męczyłam je całemi godzinami, a one mściły się na mnie, wywracając jednem kopnięciem wymęczone przeze mnie mleko lub zanurzając w nie swój ogon, a ten jeździł potem po mojej twarzy. Jakaś poczciwa babina pomagała nam czasem w dojeniu. Z naszych licznych pacjentów dwie tylko kobiety okazały nam pewną życzliwość, a jeden chłop, ojciec naszego pacjenta, przyjechał z sąsiedniej wsi specjalnie, żeby się dowiedzieć, co się z nami dzieje. Wielką pomocą w naszych gospodarskich kłopotach było to, że między naszymi chorymi znalazł się jeden kucharz a drugi długoletni

pomocnik kucharza. Była to nasza opatrzność, bo inaczej nie wiem, jakbyśmy z tego wybrnęły.

Powoli zaczęło się życie w tych okropnych warunkach układać. Żyliśmy z dnia na dzień, a z godziny na godzinę, będąc tak pewne, że nas jednak prędzej czy później zabiją, żeśmy tylko postanowiły nie dać się męczyć i przygotowałyśmy każda dozę trucizny, co nas bardzo uspokoiło. Podzieliłyśmy się pracą w następujący sposób: Irena Prechitko, jako najenergiczniejsza i najzaradniejsza, była naszym intendantem i zdobywała żywność i trzeba przyznać, że wcale dobrześmy żyli. Mieliśmy herbatę, cukier, codzień mięso, a raz nawet pieczeń z naszego cielaka, którego pozwolono nam zarznąć pod warunkiem, że połowę już upieczoną ofiarujemy przezacnemu gronu. Zosia Wańkowicz była do wszystkiego, co się nazywało »Filusiem«; ja miałam opatrunki, co mi sporo czasu zabierało, gdyż prócz naszych kilku i to dość poważnie chorych, dwaj bolszewicy obdarzyli nas swojem zaufaniem, woleli leczyć się u nas, burżujskich sióstr, niż u swoich, których wyższość stale akcentowali, twierdząc, że to są wszystko osoby idei, które bez żadnych specjalnych przygotowań przedzierzgnęły się w siostry; widziałyśmy kilka z nich, niektóre dziwne robiły wrażenie, osób nie z fabryki, ale wprost z ulicy i to w najgorszym gatunku. Przyznać też trzeba, że ci ludzie widzieli różnicę między nami a swojemi siostrami; otaczali nas nawet pewnego rodzaju szacunkiem; dowodem tego, że byli cały czas pełni uprzejmości, chcieli nas gwałtownie w roli sióstr zatrzymać, a następnie na pożegnanie całowali nas w ręce, bez żadnej poufałości, ale z wielkim szacunkiem. Przyczynili się do tego nasi chorzy, którzy opowiadali o nas niestworzone rzeczy.

Tak ciągle odbiegam od tematu, że nikt chyba nie będzie mógł złapać wątku, ale wracam do swego. Ponieważ, jak wspomniałam, było kilku cieżko chorych, trzeba było wciąż czuwać przy nich. Wobec tego podzieliłyśmy między nas trzy, noc i codzień dyżurowałyśmy po kilka godzin, zato we dnie stale była przy chorych S. Białkowska, zwolniona wobec tego od nocy. Chorzy nasi, jak już mówiłam, zajęli dwa pokoje; cięższej chorzy leżeli na łóżkach, lżej — na ziemi, na siennikach, a my urządziłyśmy sobie spanie na korytarzu,

między drzwiami i piecem, gdzie dawniej trzymałam parę skrzyń z materjałami opatrunkowemi i krzywiłam się bardzo na tak ciasne i ciemne pomieszczenie, ale teraz uszczęśliwione byłyśmy z tego kącika, bo między chorymi dosłownie miejsca nie było, a gdzie indziej bałyśmy się, a zresztą, paląc same w piecach, manewrowałyśmy tak, aby ich najmniej potrzebować opalać. Paliwa dostarczały nam rozbite skrzynie, połamane drzwi i drągi do noszy, tak, że na szczęście nie potrzebowałyśmy drew piłować i rąbać. Kuchenkę szczęśliwie miałyśmy tuż obok, a cały rozkład był tak dobry, że tworzyło to wszystko zupełnie odrębną całość z naszym korytarzykiem i pokojami dla chorych. Męczyło nas tylko to, że cały tydzień spałyśmy w ubraniach.

Co rano zapytywałyśmy, jaki los nas czeka. Z początku chciano nas zaraz wywieźć, ale oparłyśmy się temu, chcąc przedtem pochować naszych biedaków. Przez trzy dni leżały te nieszczęsne ciała obdarte, poranione, straszne — chłopstwo urągało im i pastwiło się nad trupami. Pacjent doktora naczelnego, którego on przez parę tygodni leczył, przychodził do ciała doktora, koląc go kijem i urągając przytem okropnie ku wielkiej radości sfory całej bab i chłopów.

Całe trzy dni dopraszałyśmy się pozwolenia pochowania tych nieszczęsnych trupów, wreszcie po długich dopominaniach się i prośbach chłopi powiedzieli, że wykopią dół, ale za pieniądze. Tu zaczęły się targi, gdyż zostałyśmy z kilkunastoma rublami (cały mój depozyt dostał się w ręce rabusiów). Wreszcie stanęło na trzech rublach od ciała. Wybrałyśmy w ogrodzie miejsce pod świerkiem. Jak tylko dali nam znać, że mogiła gotowa, przyszłyśmy, zabierając parę ocalonych fartuchów i prześcieradeł dla przykrycia trupów. Nad wykopanym grobem stała cała gromada chłopstwa, dowcipkująca, rozradowana. Trzeba było przynieść ciała — nikt się nie ruszył, nosiłyśmy i pomagało nam kilku poczciwych gwardzistów; następnie zaczęło się zrzucanie ciał z fosy, tak wprost, jak który upadł. Zeszłam w dół, aby jakoś ułożyć prosto te nieszczęsne ciała; padały one jedno po drugiem, a każdemu towarzyszyły szatańskie wprost dowcipy i wybuchy śmiechu. »Naczalnik doktor, idi, budiesz w ziemli naczalnikować!«. Ludzie, ci, stokroć gorsi od zwierząt, zapomnieli, że

gdyby nie doktor, kilku z nich byłoby już w grobie. Widząc, że sama nie mogę dać rady, jeden poczciwy czerwonogwardzista zeszedł do dołu i pomagał układać trupy, widocznie oburzony zachowaniem się tubylców. Jeden z chłopów zawołał na cały głos: »Was, Paljakow, nad wsiech ziemliu« — i miałam wrażenie, jak się później dowiedziałam, słuszne, że miał wielką ochotę pogrzebać mnie żywcem w grobie; chroniła nas tylko obecność czerwonej armji. Gdyby mnie mój pomocnik nie był odciągnął wporę, byłabym przytłoczoną jednym z trupów, gdyż i to należało do sportu wdzięcznych tubylców. Wreszcie składanie było skończone. Zaczęłyśmy rzucać grudki ziemi, chłopi żwawo sypali zmarzłą ziemię, wkrótce sterczały tylko tu ręka, tu strzęp ubrania. W ostatniej chwili przywieziono nam nieznanego ułana z trzeciego pułku, musieliśmy go złożyć na wierzchu, bo miejsca nie było. Wśród tej gromady rozbestwionej, uklękłyśmy i zaczęłyśmy mówić »Anioł Pański«. Ani jedna czapka nie została zdjęta, ani jedna ręka nie zrobiła znaku krzyża, a byli tam między nimi niestety i Polacy! I przyszła taka chwila, że po tych dniach męki i panowania nad każdym swoim ruchem i słowem straciłyśmy moc nad sobą, i wszystkim nam się głos załamał; nie byłyśmy w stanie dalej mówić pacierza. Ogarnął nas wstyd, że wobec tej tłuszczy, patrzącej na nasze łzy z radością, nie możemy się zmusić do spokoju; ale nie byłyśmy w stanie. Dopiero odezwanie się w ordynarny, brutalny sposób ze wstrętnym uśmiechem stojącego obok mnie młodego parobczaka: »Wam człoto siestryca, doktor oczeń nierawnoduszen« podziałało na mnie jak policzek, i tracąc równowagę odpowiedziałam mu, że nawet pies się przywiązuje, a cóż dopiero my, cośmy prawie dwa lata pracowały razem i nigdy słowa złego nie słyszały od swych współtowarzyszy. Teraz byłyśmy swobodne i mogłyśmy jechać, nasi byli pochowani. Chciałyśmy się dowiedzieć, co będzie z nami. Jeden z bolszewików proponował nam ucieczkę, ale nie mogłyśmy opuścić naszych chorych; jeden z nich przebył w czasie naszej niewoli kryzys, przy ciężkiem zapaleniu płuc, tak że były chwile, w których traciłyśmy nadzieję utrzymania go przy życiu. W tych ciężkich chwilach, w samotnem czuwaniu nocnem przy chorych okropne były twarze, przylepione do okien,

obserwujących nas »naszych opiekunów«. Komicznie to brzmi, ale warta bała się i w nocy nie chcieli nas pilnować u nas, zadowalając się obserwowaniem nas od czasu do czasu z podwórza. Miałyśmy wrażenie, że traktują nas jak dzikie zwierzęta w klatce, ale mimo to niebezpieczne. Najlepszym tego dowodem było, że proszono, aby jedna z nas udała się do sąsiedniej wsi do poparzonego dziecka; jeden opiekun, chociaż uzbrojony od stóp do głów, nie chciał sam ze mną jechać, musiałam się więc starać o drugiego opiekuna. Osobiście miałam też bardzo ciężkie chwile, może się to wyda dziwnem, dramatyzowanie, wobec tych strasznych przeżyć, ale dla mnie była to ostatnia kropla; los mi niczego nie oszczędził. Widziałam moje kochane, wyczyszczone w ostatnich czasach, jak dzieci konie, jak je rozchwytywali z pośpiechem, jako najlepsze ze szpitalnych. Potem widziałam na »Lubce«, która z powodu rany dla innych była zła, gryzła, a mnie, mimo, iż jej ból zadawałam przy zakładaniu opatrunków, zawsze lizała po rękach, jadącego jakiegoś strasznego marynarza. Raz idąc do studni usłyszałam rżenie. To biedna »Nelly«, zaprzęgnięta do sań, któremi, o ironjo, miała wieźć instrumenty, dwa lata przeze mnie zazdrośnie strzeżone, tak że w razie choroby czy nocnego dyżuru danie do nich klucza komukolwiek równało się nieszczęściu. Ta biedna Nelly w chłopskiej uprzęży za małej i za ciasnej na nią, poznała mnie zdaleka i rwała się przywiązana do słupa, biedna, głodna, nienapojona, tuliła się do mnie i miała takie smutne oczy!

Wreszcie po sześciu takich dniach powiedziano nam, że jedziemy do Rohaczewa, gdzie o ile nie zechcemy pracować u bolszewików, zabiorą nam chorych i wyszlą nas do Symbirska. Usłużni chłopi zjawili się z masą sań, okryłyśmy, jak się dało, naszych dwóch leżących chorych i pojechałyśmy z miłą przestrogą, że pewnie nas chłopi wykłują po drodze, chociaż miałyśmy eskortę. Było nam już tak wszystko jedno, tak byłyśmy moralnie przemęczone, że nas to mało wzruszyło. Po trzech godzinach drogi, którą odbyłyśmy częściowo jadąc, a częściowo biegnąc za saniami, gdyż był silny mróz, przybyłyśmy do Rohaczewa. Zaczęło się odsyłanie nas od Annasza do Kaifasza; jeden szpital się bał, wreszcie dosta-

liśmy się do szpitala Związku Ziemskiego, gdzie siostry Rosjanki przyjęły nas z niesłychaną serdecznością, choć za swe sympatje okazywane Polakom były źle notowane, a obecność nasza (sióstr Polek) była wysoce kompromitująca. Chorzy, jak chorzy, ale my byłyśmy zawsze reprezentantkami burżujów i ich obrońców, znienawidzonych Polaków. Następnego dnia dowiedziałyśmy się, że nie mają już ochoty wysyłać nas w głąb Rosji: byłyśmy wolne. Chciałyśmy czekać możności przedarcia się do Bobrujska, ale nie mogłyśmy kompromitować naszych poczciwych gospodarzy. Pieniędzy na mieszkanie w hotelu nie miałyśmy, nie zostawało więc nic innego, jak jechać do Mińska. Przy rozstaniu z naszymi chorymi popłakaliśmy się wszyscy, przez tych kilka dni tyleśmy razem przebyli.

Przybyłyśmy do Mińska wieczorem, a w nocy miasto przeszło w polskie ręce. Skorzystałyśmy z Ireną z pierwszej okazji dostania się do Bobrujska wraz z odpowiedniemi papierami, aby wydobyć ciała naszych dla urządzenia im chrześcijańskiego pogrzebu i zabrania co się da z resztek majątku szpitalnego. Na drugi dzień po przejściu Tychiniec w polskie ręce byłyśmy już tam. Na podwórzu były jeszcze rdzawe plamy z krwi, na mogile stał krzyżyk z napisem przez nas zrobiony. Ci sami ludzie, którzy nas tak niedawno lżyli, kłaniali się nam teraz z psią pokorą, udawali radość z naszego widoku, parę bab uklękło przede mną! Nie mogłam patrzeć na tę podłość, jak jedni drugich wydawali.

Musiałyśmy parę dni czekać, nim trumny porobili. Ciężka jeszcze bardzo czekała nas chwila — wydobywania ciał po trzech tygodniach, na szczęście przez cały ten czas panowały mrozy. Tyleśmy przeżyły ostatniemi czasy — przeszło i to. Ten sam chłop, który nam tak wygrażał podczas pierwszego pogrzebu, teraz wyjmował jedno ciało po drugiem, otrząsając ziemię z twarzy i domagając się gwałtownie wody dla umycia trupów. Czternaście trumien ruszyły jedna za drugą do Bobrujska, a niektóre wieźli ci sami chłopi, którzy nas wieźli do Rohaczewa, ale jacy inni teraz. Cała prawie ludność męska zdolna do noszenia broni wyszła z bolszewikami i nie wracała, bojąc się zemsty. Zdążyli jednak nasi ludzie, których znalazłyśmy w Mińsku i z których kilku przybyło z nami po

ciała, zamordować trzech chłopów, którzy wydawali i mordowali naszych. Fortuna kołem się toczy. Pobyt nasz w Tychińcach był straszny: na każdym kroku wspomnienia miłe i jasne, a okropne z dni ostatnich. Te ściany postrzelane i ta straszna pustka, wiejąca na nas z każdego kąta. Pokoje nie uprzątnięte, jak bolszewicy je zostawili, wszędzie pełno słomy, śmieci, połamanych sprzętów, szkła potłuczonego i te plamy krwawe. Te noce okropne pełne koszmarów; ciągle nam się zdawało, że idą po nas bolszewicy mścić się za tych trzech, których ludzie nasi bez sądu zabili. Ale w takich chwilach rozumiem rozkosz zemsty. Jeden z naszych ludzi przyjechał mścić swego przyjaciela i tak strasznie nam to opowiadał; coprawda, gdyby się do swego zamiaru przedtem był przyznał, nie bylibyśmy go wzięli, bo nie naszą rzeczą wymierzać sprawiedliwość — mimo jednak mego oburzenia, pojmowałam go.

Udało nam się odzyskać zaledwie dwadzieścia kilka koni szpitalnych, gdyż, co było dobrego, uprowadzili bolszewicy z sobą. Straciłam resztę nadziei odzyskania swoich klaczy, wiem, że ich już nigdy nie zobaczę, że one tam tęsknią za mną, ale dla mnie już niema mojej Fali, Lubki, Nelly. Biedne, w poniewierce, służą tym mordercom«.

Wykazy Czerwonego Krzyża zaroją się zapewne od imion kobiet z rodzin obywatelskich i arystokratycznych — pań, które nie wahały się zetknąć na tej drodze z ludźmi najrozmaitszych kategoryi społecznych, uważając, że się tak wyrazimy, każdego rannego za ukwalifikowanego dostatecznie niedolą, by się nim zająć, jak najgorliwiej ratując życie jego w odlocie.

Sam skład Zarządu Czerwonego Krzyża dowodzi, że tak było w istocie. Czytamy bowiem sprawozdanie z lat 1920—21, a w niem nazwiska: Anna Niezabitowska, wiceprezesowa, członkinie: Marja hr. Komorowska, Felicja Garapichowa, Róża Łukasiewiczowa, Irena hr. Lamezanowa, Elżbieta hr. Potocka, Pawłowa ks. Sapieżyna, Helena hr. Tarnowska, Emilja Jędrzejowiczowa, chyba z pań pracujących w czasie obrony Lwowa jedna z najruchliwszych, niestrudzonych; budziła też podziw w całym Lwowie w czasach jego przejść

wojennych. O żyjących mówią jednak na wystawie tylko wykresy i sprawozdania urzędowe...

III.

KOBIETY PRACUJĄCE SPOŁECZNIE.

Prócz wymienionych pracownic niewieścich na polu bitwy, czy też w służbie kurjerskiej lub sanitarnej, były i inne: jedne oddawały się pracy o charakterze społecznym, a nawet politycznym, drugie pracy nawskróś narodowej i obywatelskiej.

Do przywódczyń pierwszej grupy należała Marja Dulębianka di Alba Luna Alabanda, kobieta niezwykłych zdolności, gorąca patrjotka, urodzona do posłowania w trudnych kwestjach politycznych, do których trzeba było nietylko rozumu, ale i niepospolitej odwagi cywilnej. W wystąpieniach swych publicznych, przedwojennych, domagając się równouprawnienia dla kobiet polskich, poruszyła niechętnych sobie jak rój złośliwych szerszeni. Nie wahano się nawet wówczas porównać jej z osławioną mis Pankhurst. Będąc jednak przekonania, że pożytecznym członkiem swojego społeczeństwa może być tylko ten, kto posiada pełne prawa obywatela, śmiało o nie walczyła. Dopiero wojna, ta wielka mentorka o żelaznej dłoni, skierowała zabiegi ludzkie, tak mężczyzn jak kobiet, na inne drogi. Od chwili wybuchu wojny, mężczyźni walczyli orężnie, lub uprawiali zakulisową politykę świata, — kobiety, obżałowawszy tych, co odeszli na krwawe szlaki, obmyślały, co czynić, by przyjść im z pomocą. Ogół kobiet polskich, dojrzawszy ubóstwo naszych formacyj woj-



Marja Dulębianka.

skowych, czyli legjonów, zakrzątnął się około zbierania funduszów, zakładania herbaciarni dla przejeżdżającego żołnierza, w dalszym ciągu wojny, gdy braki całemu społeczeństwu zaczęły dokuczać, zabrały się do zakładania sklepów, tak prywatnych jak spółdzielczych pro publico bono. Sklepy miały cel dwojaki, aby dać potrzebującym jaki taki zarobek i aby zyskać fundusze na cele ogólne, bez wyciągania ręki po prosiebnem, po ulicach czy instytucjach. Śmiało rzec można, że w tym względzie komitet, założony przez Marję Dulębiankę, pod nazwą »Komitetu Pracy Obywatelskiej Kobiet«, wyprzedził i przeszedł wszystkie inne. Założycielka jego bowiem, z bolem serca odłożywszy nieco politykę na bok, a także swoją ukochaną sztukę malarską, założyła i zorganizowała kilka sklepów, z których spożywczy aprowizowała przy pomocy Komitetu K. B. K. (Komitetu Biskupiego Krakowskiego), poza tem zorganizowała wyrób torebek papierowych dla aprowizacji miejskiej, przyczem robotnice były najlepiej wynagradzane za pracę, mimo że torebki dostarczało się miastu taniej, niż to robili specjaliści-żydzi. Wyrób tych torebek nie dawał jednak deficytu, przeciwnie, przynosił znaczne dochody, z których czysty zysk obracany był na utrzymywanie kuchni dla rodzin legjonistów, na rozdawanie stypendjów, a w czasie uwięzienia legjonistów w Szczypiórnie i w Huszt pozwalał na udzielanie małych zapomóg dla samychże żołnierzy legjonowych. Aż żałować przychodzi, że dla ram szczupłych niniejszego obrazu — i jego ekskluzywności, nie możemy wymienić kobiet wszystkich, które pod kierunkiem Marji Dulębianki i obok niej gorąco się w tych sprawach krzątały. Osoba Marji Dulębianki tak jest zrośnięta z historją obrony Lwowa z czasów wielkiej inwazji rosyjskiej, a potem ruskiej, tak stała się na gruncie Lwowa popularną, że dziś kobiety wszelkich stowarzyszeń i wszelkich odcieni politycznych, wyrywają sobie tę dzielną przewódczynię i walczą o honor posiadania wielkiej Polki-obywatelki w swych kadrach. Z pochodzenia należała do sfer ziemiańskich z Sanockiego, dlatego ją tu pomieszczamy tytułem przynależności rodowej.

Uporawszy się ze sprawami praktycznemi, do których nie miała innego przygotowania, jak własne zdolności, subtelną

intuicję i dużo silnej woli, wracała do prac politycznych. Tak było np., gdy fala polityki rozwichrzonej i nienawistnej nam stawiała wciąż niepewny znak zapytania co do spraw Polski wogóle, a kresów wschodnich w szczególności. Wtedy Dulębianka postanowiła dotrzeć do Rady Regencyjnej do Warszawy. Uzyskawszy paszport na zjazd kobiet do Radomia, a dalszej nie mogąc uzyskać marszruty, przeciwnie, otrzymawszy zakaz przyjazdu do Warszawy, nie wahała się odbyć tej drogi z Radomia w przeciągu półtorej doby, furą przemytników, na siedziskach, zrobionych z okrąglaków, wśród zgrai 22 żydów i jednej przygodnej towarzyszki. Przy osobistej rewizji na jakiejś stacyjce omal nie dostała się do twierdzy, gdyż rewidująca ją Niemka kładła już rękę na fatalnej pończosze, w której podróżowały papiery, przeznaczone do wręczenia przedstawicielom Rady Regencyjnej, a w nich śmiało obmyślany plan bronienia nieustępliwie polskości wobec naszych nowych panów w Warszawie. Dotarłszy prawie cudem cało do Warszawy, wręczyła papiery jednemu z trzech regentów, księciu Lubomirskiemu.

Przyszedł rok 1918, a z nim mnóstwo sposobności oddania społeczeństwu polskiemu na gruncie Lwowa usług nieocenionych. Toż Dulębianka krząta się w Komitecie Obywatelskim Polek (który był połączeniem Kom. Pracy Obywatelskiej Kobiet z Ligą Kobiet), dumna jest z formującej się służby kurjerskiej w łonie tego komitetu, żałuje jedynie, że wiek i odraza do widoku krwi, przyprawiająca ją o omdlenia, nie pozwalają jej przyłączyć się do szeregów późniejszej Legji Kobiet, która właściwie wyszła z pierwotnej formacji kurjerek, pod kierunkiem wspomnianej już Aleksandry Zagórskiej. Pracuje zato tem intensywniej w Tymczasowym Komitecie Rządzącym (urzędował w Izbie Handlowej) i porozumiewa się z misją francuską. Władając świetnie językiem Gallów, — z łatwością wypowiada przed dostojnikami Francji swoje i społeczeństwa polskiego poglądy i nadzieje poparcia nas przez Francję. Jedna z tych konferencyj napełniła Dulębiankę niespodziewaną radością, kiedy w czasach krytycznych, omawiając sprawy ruskie, powiedział jej generał Barthélemy poufnie: »Dites aux vôtres qu'ils tâchent aller toujours en avent, le reste se fera de soi-même«. Było to bowiem wy-

raźnem zapewnieniem, że nasi obrońcy nie walczą o swoje granice daremnie, byle je zdobyli, Francja akceptować je będzie.

Innym razem w chwilach przełomowych dla Lwowa, w drugi dzień Bożego Narodzenia 1918 r., wyjechała z kilkunastu delegatkami Komitetu Obywatelskiego Polek do Warszawy na zjazd takichże komitetów kobiecych. Powrót do oblężonego Lwowa, pozbawionego światła i wody, mógł być fatalny i był nim rzeczywiście dla dwóch delegatek: jedna z nich bowiem, panna Dobijanka, otrzymała w pociągu kulę w biodro, drugiej — pannie Nowickiej pocisk zerwał czaszkę, zabijając ją na miejscu. Reszta pań, wśród nich obecna prezydentowa Michalina Mościcka, dotarła w dwa dni później cało, mimo, że ledwie garść żołnierzy naszych biegła na stacji w Zimnej Wodzie, by bronić pociągu przeciw zbliżającym się Rusinom. Dulębianka wróciła również cało z tej niebezpiecznej podróży, aby służyć jeszcze Lwowu i Polsce przez parę miesięcy, dopóki śmierć nie położyła kresu jej życiu. Tak żywo brała ucisk ruski z jednej strony, a losy naszych orląt z drugiej, że w jednym z dni, przepojonych niebezpieczeństwem, przeszła sama na stronę polską, porozumiała się z kim należało i wróciła tuż pod bokiem patroli ruskiej, by strwożonym przynieść dobre wieści i dodać otuchy.

Tymczasem po stronie ruskiej poza Lwowem cierpieli nasi jeńcy coraz gorsze męki w osławionych obozach jeńców w Tarnopolu, Mikulińcach, Kołomyi. Wtedy to Naczelny Tymczasowy Komitet Rządzący postanowił wysłać delegację pod osłoną Czerwonego Krzyża, w celu zbadania na miejscu losu uwięzionych i całej bardzo uciskanej ludności cywilnej. Aleksander hr. Skarbek zwrócił się do p. Marji Opieńskiej z prośbą zorganizowania takiej ekspedycji Czerwonego Krzyża. Początkowo lękały się panie jechać pod rządy hajdamackie i nie okazywały chęci wyjazdu, wreszcie znalazły się trzy odważne niewiasty, a mianowicie Teodozja hr. Dzieduszycka, Marja Opieńska i Marja Dulębianka (pojechała w zastępstwie Wiktorji Hozerowej, która z powodu złego stanu zdrowia wycofała się). Marja Dulębianka również czuła się niezbyt dobrze, gdyż była przemęczona pracą biurową, nie odpowiadającą jej zamiłowaniom, a więc mocno

nużącą, a w ostatnich latach wojny także nadmierną pracą społeczną, która ją absorbowała po dniach całych. Schody jej mieszkania (w domu pani Anny Lewickiej przy ul. Lelewela 5 a) bywały od najazdu Rosji szczelnie zapełnione od wczesnej rannej godziny ludźmi, których przeróżna niedola wojenna gnała do nie zawodzącej nikogo orędowniczki uciśnionych. Drzwi mieszkania Dulębianki bywały nieraz w istnem oblężeniu, niby u wielkiego ministra, tylko nie otwierał ich wygalowany lokaj, ale najczęściej sama znużona opiekunka. I nietylko słowem, radą, wstawiennictwem pomagała przychodzą-



Misja Czerwonego Krzyża u hr. Rejowej w Mikulińcach.

cym, ale i własnemi bardzo szczupłemi funduszami a nawet zapasami. Gdy się zdarzyło, że już nic innego nie było do dania, najbiedniejsi unosili bodaj resztę cukru czy bułeczkę, przeznaczoną na śniadanie, i tak zbyt spartańskie. Nie udało się zatrzymać Dulębianki, w czasie wyjazdu misji Czerwonego Krzyża, gdyż nie chciała, aby ktokolwiek mógł przypuścić, że się boi wrogów czy też trudów takiej wyprawy. A trudy czekały naszą misję niemałe: po stronie ruskiej brak pociągów, noclegi u wrogich popów, auta, na które trzeba było czekać, wreszcie jazdy bez futra, przygowały katastrofę (później otrzymały futra od jednego z naszych obywateli). Na załączonej fotografji, na której misja jest przed-

stawiona z tamtejszym (po stronie ruskiej) komitetem polskim w domu Józefy hr. Reyowej, są panie: od lewej Marja Bogucka, Marja Opieńska, T. hr. Dzieduszycka, J. hr. Reyowa i Marja Dulębianka. Za paniami stoi nieodstępny ich anioł-stróż ruski, porucznik Oryszczyn. Na twarzy sędziwej naszej Dulębianki widać ogromne znużenie; dla znających ją dobrze wyraz ten mówi o męce duszy, patrzącej na błędne koło rządów ruskich, które swą bezwzględnością i dzikością nie wróżyły nic dobrego dla końca całej sprawy. Fotografja druga, z kliszy mocno zniszczonej (wzmocnionej rysunkiem malarki



Oddanie Misji Czerwonego Krzyża na stronę polską.

p. Wandy Korzeniowskiej), przedstawia chwilę, w której delegatki oddane były przez Rusinów w Kurowicach na stronę polską, by wrócić do Lwowa wówczas już wolnego. Z Winnik szły pieszo pod eskortą ruskich oficerów i trębacza, który co chwila dawał sygnały, że idą bezbronne, do których strzelać nie należy...

Umęczone delegatki witał Lwów radośnie, ale cieszył się niemi niedługo. Marja Dulębianka po powrocie stanęła odrazu do pracy w biurze, a nocą mimo upadania ze znu-

żenia i nurtującej ją choroby, pisała na skrawkach papieru sprawozdanie z misji Czerwonego Krzyża co dopiero odbytej. Nie minęła jej wówczas jeszcze jedna ciężka misja, a mianowicie wręczanie rodzicom, których synowie byli przez Rusinów uwięzieni, listów od tych nieszczęśliwych! Gdy zaś po stronie ruskiej tych synów już nie było przy życiu, o ileż była ta misja cięższą do spełnienia! Pisząca była obecną pewnej chwili w biurze Dulębianki, gdy przyszło jej oznajmić panu Wacławowi Żmudzkiemu, że syn nie żyje. Ojciec biedny wysłuchał w milczeniu, skłonił się i odchodził, po chwili jednak zawrócił i spytał cichym bezdźwięcznym głosem: »Więc pani mówi, że Wacio nie żyje? Czy dobrze zrozumiałem?«. Dulębianka tylko skinieniem głowy i uściśnieniem ręki była w stanie odpowiedzieć. Po odejściu ojca dowiedziałam się, w jaki bohaterski sposób skończył Wacio, syn ukochanej przez nas wszystkie współpracownicy Marji z Parniewskich Żmudzkiej. Schwytany prawie blisko domu, do którego powracał chwilę przed zdobyciem Lwowa, odarty z ciepłego ubrania, w bluzce tylko popędzony był do Złoczowa. Tam już przyszedł cieżko chory i został oddany do szpitala. Nie chciał brać jednak leków od swych wrogów, a gdy dopuszczono doń księdza spowiednika, najprzytomniej podał, jak się nazywa, jak matki imię chrzestne i rodowe, aby się rodzice nie łudzili daremnie, że żyje. Matka, dotychczasowa wytrwała i zapobiegliwa opiekunka kuchni dla rodzin legjonistów, przyjęła wieść o śmierci uwielbianego jedynaka po bohatersku i ani na godzinę nie przywdziała żałoby dlatego, że syn zginął dla Polski... (Marja Żmudzka z Parniewskich jest córką obywateli z Kobryńskiego, w ziemi Gródzieńskiej).

Wrócić musimy jeszcze do ostatnich dni stania na posterunku M. Dulębianki. Mimo wyczerpania podróżą i chmur groźnych wiszących wówczas nad całą Polską, mimo nurtującej ją już choroby, pamiętała, że sprawozdanie trzeba oddać do biura prasowego wojsk naszych (Fredry nr. 2), a w czystopisie, który miała złożyć w Archiwum Miasta Lwowa, pamiętała o złożeniu pod niem podpisu swoich dwóch towarzyszek podróży. Udała się też z niemi do pałacu Potockich przy ul. Kopernika, by mieszkającej tam misji francuskiej zdać sprawę z pobytu w obozach internowanych. Od tej

chwili zawładnęła choroba, której się panie nabawiły w tych strasznych obozach, naprzód hr. Dzieduszycką, a w dwa dni później Dulębianką, wreszcie najodporniejszą Opieńską. Tyfus plamisty zmógł nasze działaczki, a w osobie Marji Dulębianki przerwał bogatą działalność malarki, polityczki, publicystki, wreszcie społeczniczki. Ciężko chorą przewiozła osobiście karetką pogotowia p. Jadwiga Moszyńska, nie chcąc do ostatniej chwili opuścić serdecznej przyjaciółki swej matki (p. Anny Lewickiej) mimo, że wiedziała, iż jadąc z chorą na tyfus plamisty mogła się z największą łatwościa nabawić tej okrutnej w skutkach choroby. Tam, w pawilonie zakaźnych, pod troskliwą opiekę doktorki Strzeleckiej oddana Dulębianka, przebyła dni kilka zachwycając swą dobrocią nawet siostry zakonne, którym chciała odjąć kłopotu i ciągle za sprawiany kłopot je przepraszała, wreszcie w chwili najwyższej grozy dla Lwowa, w chwili wybuchu amunicji na dworcu Głównym, popadła w nieprzytomność i życie zakończyła zdala od wszystkich, którym tak wydatnie służyła. W chwili takiego popłochu i przygnębienia umysłów, nie dziw, że nie było komu ubrać zmarłej na tę ostatnią podróż bezpowrotną... Garść wiernych przyjaciół i pracowników społecznych z prezydentem Neumannem na czele, księdzem infułatem Zajchowskim i ks. kanonikiem Badenim odprowadziła wielką zmarłą, którą przy wtórze niedalekiej potyczki, złożyła do grobu jej umiłowanej przyjaciółki, wielkiej pieśniarki Marji Konopnickiej. Żal za zmarłą był cichy, lecz dziwnie uroczysty i głęboki. Gromadka wiernych wyznawców jej zdolności, odwagi i patrjotyzmu, nie mogąc się oderwać od żegnanej, stała długo w skupieniu nad podwójną mogiłą... Dopiero dnia 8 maja 1927 roku zwłoki Dulębianki zostały uroczyście przeniesione na cmentarz Obrońców Lwowa.

I jedno jeszcze słowo wytłumaczenia: na zarzut zrobiony piszącej, że nie garść, ale liczny zastęp odprowadzał Marję Dulębiankę do grobu w marcu 1919, stwierdzić należy, że wobec popularności, jaką się we Lwowie cieszyła, wobec rzesz, jakie za inwazji rosyjskiej snuły się za Dulębianką, gdzie się tylko pokazała, kondukt żałobny wydać się musiał — co najmniej znikomym — co tylko tłumaczyć się może nastrojem chwili.

Teodozja z Smarzewskich hr. Dzieduszycka, pracowała od początku wojny 1914 r. w szpitalach — w Wiedniu, Krynicy, Nowym Sączu, wreszcie jako jedna z sióstr Błękitnych w szpitalu na Technice, w którym pozostawała, mimo że w gmach godziły strzały. Za swe trudy dla rannych nie przyjęła żadnego odznaczenia, uważając, że spełniony obowiązek starczy Polce za całą nagrodę. Ostatnim etapem



Teodozja hr. Dzieduszycka.

jej służby — to wyjazd z misją Czerwonego Krzyża. Po powrocie do Lwowa epidemja tyfusu zmogła tak szybko jej organizm, że nie pomogły żadne zabiegi lekarzy i rodziny, by ją wyrwać z rąk śmierci tak przedwczesnej i bezlitosnej...

Trzecia uczestniczka misji Czerwonego Krzyża to Marja Opieńska, jedyna z trzech zachowana przy życiu, cudem prawie. Z domu panna Gąsiorowska, córka obywateli

z Hrubieszowskiego, po wyjściu zamąż za lekarza dra Opieńskiego, osiadła we Lwowie i z nim pracą wieloraką związała się na zawsze. Tylu rodzajów prac społecznych imała się przed, w czasie i po wojnie, że bodaj przyjdzie nam się streszczać stylem telegraficznym, abyśmy żyjącej jeszcze i w pełni chęci do pracy nie sławili dłużej, niż te jej towarzyszki, które już odeszły na zawsze.



Marja Opieńska.

Już w roku 1911, w chwili, gdy Związek Sokoli zainicjuje skauting we Lwowie, należy do trzech organizatorek skautingu żeńskiego z panną Czarnecką, późniejszą Małkowską, i p. Smolikówną, późniejszą Grabską. Urządza pierwszą kolonię skautek w Berezowie Wyżnym 1913 r., a w 1914 kurs instruktorski w Skolem na wielką skalę. Na kurs ten zjeżdzają



Instruktorski kurs Harcerski w Pieskowej Skale z Marją Opieńską.

uczestniczki z dalekich stron kraju, a nawet i z Petersburga przybywa panna Olszaniecka. Zakończenie kursu przerywa wielka wojna światowa. Za powrotem do Lwowa pomaga p. Opieńska przy formowaniu się legjonu wschodniego, organizuje kursy sanitarne, czując ich bliskie zapotrzebowanie, organizuje też magazyny, zbiórkę pieniężną. Po wyjściu legjonu wschodniego zgłasza się z resztą swych sokolic i skautek, gdy Lwów zajęli Rosjanie dnia 3/IX 1914, do Pelagji hr. Skarbkówny, na Technikę. Odtąd jest jedną z sióstr błękitnych, zawsze czynna, zawsze czujna na sprawy bliźnich, a szczególnie na sprawy polskie.

Wojna, wstrząsająca Europą, nie oszczędziła Polski a w niej szczególnie Lwowa, który bywał w różnych rękach i różnych miewał i znosił panów. Trzeba było mieszkańcom jego mieć się zawsze na baczności, a zajęcia i prace zmieniać według zachodzących potrzeb, o których decydowała dana chwila. Kto był zbliska zespolony z grodem naszym, ten wyczuwał na sobie to prawo potęgi wojennej zamieszki i nieraz sądzić mógł, że był rodzajem piłki w ręku jakiegoś dziecka-olbrzyma, mocno rozkapryszonego, a nieskończenie złego. Kaprysy tego losu minąć zatem nie mogły sióstr błękitnych, wyrosłych na gruncie Lwowa, a z niemi i Marji Opieńskiej. I tak listopad 1918 r. sprowadził nam braci Rusinów, pod których ciężką ręką, dobrze uzbrojoną, ugięliśmy się chwilowo. Opieńska nie traci i wtedy czasu na długie namysły, pracuje gorliwie w Sokole, a już w parę godzin po zawładnięciu przez Rusinów miastem organizuje w swojem mieszkaniu przy ulicy Senatorskiej, pogotowie sanitarne, w którem przebywało stale po kilku lekarzy. Pogotowie to zaopatrzyła p. Opieńska w nosze, opatrunki, jodynę i t. d. Do dyspozycji miała około 30 kurjerek do pomocy. Zaraz w pierwszych dniach otrzymała rozkaz wysłania patrolu na wywiad na Persenkówkę, podpisany przez kapitana Wita Sulimirskiego, drugi rozkaz nakazywał przystawienie rannego z Żelaznej Wody. Zgłosiły się 4 ochotniczki do spełnienia tej niebezpiecznej służby: panna Kamila Kwapińska, Stanisława Wasilewska, skautka, Ausbergerówna Jadwiga i Wanda Lechowin, późniejsza legjonistka. Wyszły razem, lecz nie doszedłszy do Persenkówki, zostały przytrzymane przez Rusinów, wy-

wiezione koleją za Dawidów i tam puszczone na szczęście wolno w polu. Przyszły piechotą, zbiedzone, wystraszone, przenocowawszy w Sichowie, i dopiero drugiego dnia stanęły we Lwowie. Wiadomości naszej komendy bywały czasem nieścisłe i narażały na niebezpieczeństwa nasze bohaterskie i ofiarne dziewczęta. Drugi więc raz z obawy przed powtórzeniem się nieudałej wyprawy, prowadziła je osobiście Opieńska z raportem na drugą stronę miasta; wszystko odtąd szło szczęśliwie bez przygód jak powyższa.



Marja Opieńska Podpor. Ochotn. Legji Kobiet z Kompanją Sanitarną.

W czasie listopada pamiętnego porozumiewała się w sprawie kurjerek z Aleksandrą Zagórską, która organizowała kurjerki w lokalu Komitetu Obyw. Polek (przy placu Akademickim nr. 1). W grudniu i w ciągu całej zimy pomagała w dalszym ciągu w organizowaniu legjonistek. Dnia 1 kwietnia została mianowana podporucznikiem (1920) z poleceniem zorganizowania i wyćwiczenia kompanji sanitarnej przy Ochotniczej Legji Kobiet. Wtedy pracowała głównie w koszarach bardzo niehigjenicznych, przy ulicy Janowskiej, werbując tam, szkoląc i ćwicząc dziewczęta, a wyćwiczone rozprowadzając i rozdzielając po szpitalach dla praktyki.

Wśród tych okoliczności wypadł 25 stycznia 1919 r., pamiętny wyjazd misji Czerwonego Krzyża do obozów internowanych, po stronie wówczas ruskiej. Po drodze napotykała

nasza misja dwory i pałace w ruinie częściowej, a niektóre i całkowitej. Gdzie udało się delegatkom zajechać, porozumiewały się z właścicielami, jednak z trudnością, gdyż nie odstępujący ich ani na chwilę żandarm ruski, por. Oryszczyn, począwszy od Kurowic aż do końca podróży powrotnej, śledził nasze panie i nie opuszczał ani na chwilę. Tak było między innemi i w zamku w Żurawnie, gdzie byli internowani księstwo Czartoryscy i były prezydent Rady Szkolnej Krajowej, pan Ignacy Dembowski. Radość z przybycia misji była widoczna u dostojnych więźniów, ale porozumienie z nimi nad wyraz trudne. Wtedy Marja Opieńska, wywzajemniając się chytrym cerberom chytrością, potrafiła odebrać listy bez niczyjej sankcji ni pozwolenia. Właściciele ziemscy musieli we własnych domach znosić niewolę tak dokuczliwą, że do pokoju pań wchodzili nawet w nocy, po kilka razy, tak że od dwóch tygodni sypiały nie rozbierając się ze sukien.

W Mikulińcach zastały delegatki nasze pałac ogromnie zniszczony. Józefa hr. Reyowa i jej córka Marja spały w parterze, a na pierwszem piętrze leżeli nasi internowani na słomie, w brudzie, w kale własnym, zawszeni okropnie; trupy ich bywały po kilka dni nieusuwane, gnijąc wśród żywych. Jakże nasze delegatki, odwiedzając tych nieszczęsnych, schylając się do tych widm, aby móc ich szept zrozumieć, mogły nie nabawić się tyfusu tam grasującego... Prócz tych biedaków z I piętra byli jeszcze inni, przeważnie powracający do domów z wojny żołnierze, prawie wszyscy chorzy, leżeli zduszeni formalnie w kilku pokoikach w oficynie. Tyfus grasował wśród nich tak okropny, że lekarz, żyd, bał się wchodzić do tych zapowietrzonych mieszkań. Jakież chwile wobec tak potwornych stosunków musiały przechodzić panie Reyowe we własnym domu już nie przez dni całe ale przez nie kończące się tygodnie! Dokoła widziały męki i śmierć i same niepewne były dnia ni godziny. Mimo wszystko potrafiła jednak Marja hr. Reyówna uzyskać pozwolenie dostarczania żywności nieszczęsnym ofiarom ruskiego teroru i docierała do nich osobiście jak prawdziwy anioł-stróż, anioł-pocieszyciel. Dziwne, że w tych nieprawdopodobnych warunkach nie nabawiła się tyfusu, a dopiero po borbie ruskiej zmarła w niedługim czasie.

Sprawozdanie misji Czerwonego Krzyża, napisane zaraz po powrocie przez M. Dulębiankę nocą, gdyż w dzień pełniła służbę inspektorki w biurze miejskiem, złożone zostało w Archiwum Miasta Lwowa, podpisane przez wszystkie trzy uczestniczki, bruljon zaś oddany przez Dulębiankę do wojskowego biura prasowego i tam już po śmierci Dulębianki wydobyty z kosza na śmiecie (dzięki pomocy dra Orłowskiego), przechowują Lwowianki z pietyzmem w Muzeum Zasłużonych Polek.

Trudno dla tego dokumentu o lepsze umieszczenie, a dla Muzeum o cenniejsze dokumenty...

Dotąd mówiliśmy o obronie miasta i kraju, specjalnie Małopolski wschodniej, a mianowicie o obronie z bronią w ręku, z lekami i opatrunkiem lub dostarczanym rozkazem, który doręcza się tam, gdzie doręczająca równie prawie jak żołnierz narażona jest na niebezpieczeństwo. Istnieje jednak jeden jeszcze rodzaj obrony miasta czy kraju i najdroższych narodu wartości, niemniej trudny od wymienionych, a jest nim wytrwała, cicha i nieustępliwa praca obywatelska. Jakże szkoda, że z powodu ram zakreślonych niniejszemu szkicowi nie można choćby najpobieżniej przedstawić pierwowzoru poświęcenia się obywatelskiego w fanatyczce każdej pracy narodowej i kulturalnej, jakąby dać się powinno w osobie senjorki Lwowa, niezmiernie zasłużonej w 63 r., Zofji Romanowiczówny, lub młodszej od niej Anieli Aleksandrowiczówny. Ileż to lat we dnie i po nocach strawiła panna Aniela w służbie polskości kresów wschodnich i zachodnich (Śląsk), w służbie T. S. L. Morze to pracy, niewywdzięczonej, nie nagrodzonej o ile mi wiadomo żadnym orderem, choć życie jej całe jakby wypite było przez Polskę na chwałę Bożą. Czyż wobec tego nie godneby stanąć obok ziemianek i innych dostojniczek czołowych naszej ziemi i naszego grodu? A w ich imionach nie wyczerpałaby się całkiem lista kobiet Lwowa, któremi szczycić się możemy. Czyż nie postawilibyśmy tam zasłużonej wobec całych pokoleń młodzieży redaktorki Anny Lewickiej, zawsze hojnej po pańsku, gdy szło o sprawę obywatelską, potrzebną dla kraju i użyteczną. Czyż mogłoby braknąć tak dobrotliwej, cichej, a niesłychanie wytrwałej w pracy Marji Argasińskiej, tego praw-

dziwego budowniczego bursy im. Boberskiej, a w niej opiekunki najlepszej uczących się niezamożnych dziewcząłek... I jeszcze tylu, tylu innych, zasłużonych a prawie zapomnianych kobiet!

Trzymając się jednak ram zakreślonych tematem, na ten raz musimy się skracać, mówiąc tylko o wybitnych kobietach z ziemiaństwa. Do tych cichych budowniczek polskiego ula, na którego całość i szczęście przy każdej sposobności czyhali wrogowie Polski, Lwów może dodać i poszczycić się wielu innemi przodownicami. Do takich należy bezsprzecznie obywatelka-ziemianka z krwi i kości, Wanda księżniczka Czartoryska. Rzadko spotyka się kobiety o wyrobieniu charakteru tak jednolitem, jakiem odznaczała się ks. Czartoryska. W pracy społecznej, z której znał ją i podziwiał Lwów, nigdy inna, tylko spokojna, równa, w wytkniętych drogach wytrwała. Taką była zawsze do dni ostatnich. W majątku swym Wiązownicy w latach młodości jeszcze zakładała szkoły dla dziewcząt wiejskich i warsztaty kilimkarskie, a z swego odnoszenia się do ludu słynęła w najdalszej okolicy i po całym kraju. Nietylko była przez swe wiejskie pupilki chwalona, ale szczerze kochana. Gdy w latach późniejszych przeniosła się do Lwowa i często w nim przebywała, brała udział we wszystkich zrzeszeniach katolickich i narodowych. Jak niegdyś w Wiązownicy zajmowała się



Wanda Ks. Czartoryska.

żywo ukształceniem dziewcząt wiejskich, tak we Lwowie zwróciła uwagę specjalnie na szkołę gospodarczą w Snopkowie, która odtąd stała się osią jej starań i zabiegów. Oto co w tej kwestji pisze jedna z jej ukochanych wychowanek: »Ś. p. Wanda ks. Czartoryska, uproszona w roku 1910 na przewodniczącą »Towarzystwa Gospodarczego Wychowania Kobiet«, związana ściśle węzłami pokrewieństwa z rodziną Zamoyskich z Kuźnic, uważa pracę w temże Towarzystwie jako dalszy ciąg myśli pani generałowej Zamoyskiej i oddaje się jej z całym zapałem. W roku 1911 tworzy »Komitet Budowy Seminarjum Gospodarczego« w Snopkowie, staje na jego czele, wkłada weń cały zasób energji i pracy, spędza całe noce nad planami i wyzyskując swoje stosunki, zbiera fundusze, łoży sama hojnie ze swej szkatuły, pragnąc budowę przeprowadzić szczęśliwie do końca. Wymagająca, twarda dla siebie, ileż wzamian wyrozumiałości, serca i ciepła posiadała dla drugich. Ś. p. ks. Wanda pracuje dla dobra i rozwoju zakładu poza jego murami, ale serce jej czuwa w Snopkowie, bierze żywy udział nietylko w uroczystościach szkoły, ale i w życiu codziennem, pomaga słuchaczkom w pracy społecznej, w ochronce, apteczce, i kocha każdą uczennicę tą serdeczną miłością czy troską, która sprawia, że w każdej widzi przyszłą pracownicę pożyteczną dla Polski. Ś. p. Wanda ks. Czartoryska ukochała ideę Snopkowa nad inne, jej też poświęca ostatnich 10 lat pracy, troszczy się jej losem nawet rzucona wojenną zawieruchą w 1914 r. do Wiednia, czy później w czasie zamieszek ukraińskich przebywając we Lwowie po stronie polskiej, a nawet w chwilach, gdy złożona śmiertelną chorobą zwierza się księdzu Arcybiskupowi Bilczewskiemu, z myślą nieodstępną, że największą jej troską jest szkoła w Snopkowie i że dla unormowania egzystencji tej placówki chciałaby żyć jeszcze.

Szkoła snopkowska nie zapomni nigdy tego wielkiego serca, tej troski i pamięci o sobie i przekaże następnym pokoleniom uczennic wspomnienie żywe tej niezłomnej postaci.«

Prócz absorbującej pracy dla Snopkowa znalazła ks. Wanda czas i dobrą wolę, by się zająć ofiarami wojny w Komitecie »Opieki nad żołnierzem polskim«. Tak była

czynną, tyle dawała Komitetowi ze siebie, że po jej przedwczesnej śmierci, komitet mimo swych najlepszych chęci jej następczyni rozluźnił się i został zwinięty.

Wanda ks. Czartoryska należy do tak wyjątkowych postaci, że śmierć jej zubożyłaby każde inne, najlepiej skonsolidowane społeczeństwo, a cóż dopiero nasze, mające mimo cech szlachetnych, tyle materjału wybuchowego, niejednolitego. Toć odejście jej przedwczesne zrobiło wyłom olbrzymi wśród pracownic społecznych nietylko ziemiańskich, ale całego Lwowa.

W towarzystwach ściśle humanitarnych i katolickich, jak Towarzystwo Niewiast Katolickich, Towarzystwo św. Wincentego à Paulo, Towarzystwo św. Salomei, Towarzystwo Pomocy dla Inteligencji i innych, praca w czasie wojny nie ustawała. Może nie wyglądała tak świetnie i jaskrawo w oprawie piorunów wojennych, ale zato jakże była kojącą i trwałą. Niewiasty katolickie pod kierownictwem niezmordowanej Heleny Tadeuszowej Czapelskiej, a następnie równie gorliwej Róży Łukasiewiczowej, Tow. św. Salomei przez ćwierćwiecze kierowane rozumnie i bez wypoczynku, bez wytchnienia przez panią Paparową — Towarzystwo Ochrony Dziecka z p. Abrahamową, Kruszyńską, Mrozowicką Ireną, siostrą założycielki ś. p. Zofji Mrozowickiej — niezapomnianej we Lwowie — i tylu innemi paniami, Towarzystwo nieco późniejsze, wykwit wojennych stosunków i nędzy — Niesienia Pomocy dla Inteligencji, pod kierunkiem pani Marji Radzimińskiej, — wszystkie zadawały sobie trudu niemało w każdej akcji ogólnej, o czem pouczą specjalne wykazy, robione na wystawę poznańską, oprócz tego jednak strzegły pilnie swych stałych przedwojennych agend humanitarnych i kulturalnych. Towarzystwo św. Wincentego à Paulo z przewodniczącą Anną hr. Wolańską, pełną energji i wytrwałego stania na posterunku, nie mogło nastarczyć biedzie wojennej i powojennej, która Towarzystwo nieraz kompletnie szturmem wziąć chciała. Ponieważ jednak wymienione przodownice społeczne cieszą się dzięki Bogu najlepszem zdrowiem, wstrzymujemy się od wyraźniejszego skreślania ich trudów.

Z powodu zbyt krótkiego czasu dla wyczerpującego przedstawienia prac i wysiłków niewieścich w okresie potrójnej

obrony Lwowa i Małopolski (przeciw Rosji w 1914—15 r., przeciw Ukraińcom w 1918—19 r., a wreszcie przeciw bolszewikom w 1920 r.) pisząca ten pobieżny zaledwie szkic szkicu pomija na pewne wiele zacnych imion, a może i instytucyj. Czyni to jednak z żalem serdecznym, gdyż kocha wszystkie tak instytucje polskie, jak i kobiety w nich pracujące, kocha i hołd składa nietylko niewiastom ziemiankom, ale pragnie go na tem miejscu złożyć wszystkim zacnym obywatelkom Lwowa, a najchętniej pragnęłaby pisać o wszystkich i rozpowiadać radośnie o ich czynach i chwale następnym pokoleniom... Zanim jednak skończy dzisiejszy obraz w skrócie robiony, ogarniając raz jeszcze gorącem spojrzeniem akcję kobiet ziemianek na tle Lwowa, musi wymienić jedno ponadto stowarzyszenie niewieście, które w niniejszym albumie powinno się stać cenną, kowaną misternie, ale i mocno klamrą. Jest niem »Zjednoczenie Polskich Chrześcijańskich Towarzystw Kobiecych«. Zdaje się czasami rozmyślając o tej placówce, że my wszystkie jej członkinie same nie oceniamy jej znaczenia dostatecznie; nie doceniamy walorów tej placówki tak, jakby należało, nietylko w obrębie Lwowa, ale nawet w całym kraju. Nie przesądza się tem samem, jakoby Zjednoczenie spełniło już swą misję i mogło spocząć na laurach. Bynajmniej. Raczej odsłania się jego cele i postulaty zakreślone na dalszą przyszłość, na jak najdalszą, w skutkach owocną i błogosławioną. Sama już nazwa Zjednoczenie przykuć powinna uwagę naszą. Już samo hasło, rzucone w społeczeństwo niewieście z okrzykiem Zjednoczenie, przepełnić powinno duszę poważnie myślących radością i stać się dowodem dwóch prawd niezbitych: jedną jest konieczność jednoczenia się, — drugą radosne stwierdzenie, że Zjednoczenie już rozpoczęło się, że jest i żyje. Zuchwałemi prawdziwie niewiastami, które to zrzeszenie zainicjowały na burzliwym gruncie polskim, to ś. p. Antonina Machczyńska, Eleonora księżna Lubomirska i niestrudzona od początku Zjednoczenia jego sekretarka, dziś już ś. p. Wanda Kłosowska.

Drugi to raz w historji naszej widzimy tak śmiały krok, uczyniony przez niewiasty polskie w imię zjednoczenia. Kto zna lata, poprzedzające wybuch powstania styczniowego,

rok 1861 i 1862, ten zachwycać się musi przedziwnem, niebywałem na naszym gruncie zbliżeniem się do siebie, po raz pierwszy może szczerem i ufnem, warstw, fortun, stanów i zawodów w czasie wspólnie obchodzonego »święconego« po całej Polsce i Litwie, i zbliżenie w czasie wspólnie odbywanych nabożeństw, procesyj, pielgrzymek do miejsc świętych w 1861 r. Domorośli krytycy wyśmiewali i ten zapał kobiet, ale mężowie stanu wrogów naszych umieli je ocenić i lękali się tego duchowego zbliżenia i zjednoczenia. Minister policji berlińskiej von Bärensprung nazywał to zbliżenie »mądrym«, najlepiej taktycznie obmyślanym środkiem walki bez broni w ręku. I stąd, tak pod zaborem pruskim, jak rosyjskim, a nawet austrjackim wydawano srogie ukazy przeciw takiemu jednoczeniu się ludności, niesłychanemu w dziejach naszego dumnego i zbyt arystokratycznie uwarstwionego narodu. Podkreślić tu trzeba, że jak obecnie tak i wówczas, motorem głównym owego zbratania usiłowała stać się kobieta polska. Ruch ten cały nazwała historja »demonstracjami politycznemi« zamiast je nazwać katolicko-narodowemi. Istota tego zbliżenia na gruncie naszym była czemś tak wielkiem, tak pięknem i pełnem doniosłego znaczenia, że zakrywa i przysłania sobą pewne błędy powstania 63 r. i całą jego gehennę...

Dziwnym i szczęśliwym zbiegiem okoliczności, w lat 50 później, powstaje we Lwowie Zjednoczenie Polskich Chrześcijańskich Towarzystw Kobiecych. Jego śmiałe i przepiękne hasło przysłania dziś wszelką inną działalność w poszczególnych jej objawach. Powtarzamy sobie jeno wyraz — zjednoczenie i upajamy się jego dźwiękiem. Radość ogarnia nas kobiety polskie na myśl, że instytucja ta, dziś w zawiązku, ale pełna żywotności, dać może i da na pewne początek takimże zrzeszeniom w całym kraju i dokona kiedyś głębokiego, prawdziwego zjednoczenia. Stąd przyjdzie trzem inicjatorkom chluba niespożyta, że one to właśnie, one kobiety polskie, zrodzone na biednej, drogiej ziemi naszej, przyniosą jej odrodzenie i szczęście.

— Pomagaj Bóg! — woła zbieraczka pszennych kłosów.

DRUKARNIA OSSOLINEUM
LWÓW